

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 18 stycznia 1948 r.

Nr 3 (124)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

PROBLEM LITERATURY*)

DLACZEGO tak trudno rodzi się nowa literatura?

Jest to, sądzą, w pierwszym rzędzie trudny problem nowego człowieka. A nowy człowiek podczas okresów burz i niepokoїв, objawia się z całą siłą i całą wyrazistością w codziennej swojej działalności, lecz tylko z trudem i tylko z największym wysiłkiem może ten okres objąć w tak krótkim czasie swoim własnym przeżyciem artystycznym i odpowiedzieć własną twórczością na codzienny bieg wydarzeń.

Jest to zarówno problem twórcy, jak i problem czytelnika. Ponieważ i twórca i czytelnik w przekroju zjawisk rewolucyjnej ludowej dopiero powstaje.

I dlatego o ile rewolucje społeczne są wyrazem historycznego skoku, określonego i w czasie i w przestrzeni, o tyle na rewolucję kulturalną składa się długi i żmudny proces dojrzewania poszczególnych elementów nowej kultury, który to proces musi zachodzić w pierwszym rzędzie w umysłach ludzi, tworzących dzieła sztuki, i w głosach ludzi, chłonących dzieła sztuki.

I dlatego chociaż słuszna jest często krytyka działalności kulturalno-oświatowej Związków Zawodowych i Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, nie wolno nam jednak zapominać, że ani Związki Zawodowe, ani TUR, jako organizacje masowego upowszechniania kultury, nie mogą być twórcami jej treści i co najważniejsze, nie mogą zastąpić samego aktu tworzenia.

I dlatego nikt z nas nie stawia zagadnienia nowej kultury w płaszczyźnie bezpośredniego zamówienia na określone dzieło sztuki. I nie w tej płaszczyźnie winna też toczyć się dyskusja.

Nowa literatura, tak, jak każda dotychczasowa prawdziwa twórczość, może powstać tylko jako akt własnego przeżycia, własnego doznania, własnego zrozumienia i własnego ukochania tego, co się tworzy.

I tak właśnie, a nie inaczej, stawia te sprawy obóz Demokracji Ludowej.

Bo przyjrzymy się bliżej temu, o co się toczy dzisiaj walka, walka trudna i uporczywa, która wypełniła już blisko połowę naszego stulecia.

Jeżeli powiemy, że zagadnieniem mobilizującym za i przeciw społecznej rewolucji, jest nacjonalizacja przemysłu, to zamknijemy w tej definicji niewątpliwie część prawdy, lecz bardzo jeszcze daleko będziemy od prawdy całkowitej.

Jeżeli powiemy, że tym problemem będzie reforma rolna, to również nie zbliżymy się do wyczerpania jej całej istoty.

Jeżeli powiemy, że walka toczy się o klasową treść władzy państwowej, to chociaż zawrzemy w tym pojęciu bardzo wielką prawdę, lecz jeszcze nie prawdę całkowitą.

Bo w istocie rzeczy walka toczy się o pozycję człowieka, o jego rolę historyczną, o jego prawo do świadomego budowania swojego własnego życia, o kolejny proces wyzwolenia człowieka.

Jest to ciężka walka, która już trwa długie dziesięciolecie.

Marks w swoim czasie dokonał genialnego odkrycia, że zjawiska ekonomiczne i socjalne rządzą się twardą logiką praw rozwojowych, że wykryć je i nimi kierować może tylko klasa zainteresowana w rozwoju, zainteresowana w postępie, a nie zainteresowana w negacji, to jest klasa robotnicza w najszerszym tego słowa pojęciu, obejmującą zarówno pracowników fizycznych jak i umysłowych.

I za to rozstrzelano się robotników oraz działaczy społecznych, rekrutujących się spośród inteligencji od blisko stulecia na brukach wszystkich niemal miast państw kapitalistycznych.

O perspektywę tej walki i tej prawdy

*) Przemówienie na zjeździe Związku Zawodowego Literatów.

życia w jej rzeczywistym przekroju, toczy się dziś walka na froncie kulturalnym w Polsce. Zarówno na froncie twórców, jak i na froncie czytelnika.

Naszym zadaniem, zadaniem organizatorów współczesnego życia w Polsce, jest pomóc pisarzowi zobaczyć jego własną wielkość na drogach historycznego postępu i zobaczyć jego własną i tragiczną samotność na drogach odejścia w przeszłość. — Naszym zadaniem, zadaniem działaczy społecznych i zawodowych, powiem więcej, zadaniem całego świata pracy, którego pisarz jest częścią składową i nieodrębną, jest postawić przed pisarzem problematykę tak różnorodną w treści i tak różnorodną w formie, żeby pisarz wyczuł, żeby pisarz przeżył duszę odrodzonego narodu, jego walkę, jego cierpienia, jego radość i jego twórczość.

Żeby twórczość narodu, idącego w przyszłość stała się twórczością pisarza Polski Ludowej. Żeby prawda człowieka pracy, twarda prawda, często bolesna, a jakże jednocześnie wielka w walce o nową, lepszą przyszłość, stała się prawdą ludzi pióra. — Naszym zadaniem, zadaniem działaczy związków zawodowych, jest stworzenie takich warunków dla pisarza, żeby zobaczył siebie w tworzącym się obok niego życiu, żeby zobaczył siebie w wielkim akcie powstania Ziemi Zachodniej i w wielkim akcie nowych fabryk i nowych dzieł sztuki. Żeby w przeżyciach narodu zobaczył swoje przeżycia i dzięki temu z kolei żeby czytelnik zobaczył w jego książce samego siebie.

Być może, są to już dziś truizmy. Ciągłe jednak stoimy wobec tych truizmów bezradni. Ciągłe czekamy na cud, to Ministerstwa Kultury i Sztuki, to na cud Związków Zawodowych, podczas, gdy taki cud może i powinien być aktem przede wszystkim własnym.

A teraz kilka słów o problemie czytelnika.

Istnieje w tej chwili kilka rynków czytelnicy. Mamy do czynienia z czytelnikiem mieszczańskim, czytelnikiem inteligencji pracującej i czytelnikiem robotniczym. O czytelniku mieszczańskim i autorach piszących na ten rynek chcę mówić jak najmniej. Nie dlatego, żeby mieszczaństwo nie było częścią składową naszego modelu ustrojowego i nie dlatego, żeby literatura obliczona na ten rynek nie była potrzebna.

Żadnego zjawiska historycznego nie możemy pominąć, ani przeskoczyć i każde zjawisko musimy rozpatrywać w jego aspekcie twórczym.

Naszym zadaniem nie jest bynajmniej mieszczaństwo zniszczyć, a przeciwnie pomóc mu wrosnąć w nową epokę i w nowy ustrój.

O czytelniku mieszczańskim będę mówił najmniej z tej jednak prostej przyczyny, że w danej chwili nie jest to problem węzłowy, zasadniczy, nie jest to ogniwo kluczowe, za które musimy się uchwycić, żeby wyciągnąć całość zagadnienia.

Natomiast czytelnik inteligentki jest czytelnikiem niewątpliwie bardzo poważnym. I ze względu na klasę piszących i ze względu na zasięg czytających. Jest to czytelnik kapryśny, przeżywający swoiste procesy społeczne, lecz czytelnik niebanalny, myślący i jednocześnie odporny na taną propagandę. Jest to dla nas niejako naturalna tama przed ześlizgnięciem się na tory banału i łatwizny. Obserwacja tego czytelnika duża chłonność na książki problemowe z ostro zarysowanym profilem psychologicznym.

Czytelnik inteligentki szuka dziś odpowiedzi na dręczące go pytania, szuka siebie, swojej problematyki w twórczości współczesnych pisarzy. I trzeba to sobie szczerze powiedzieć, że tej problematyki nie odnajduje, że częściej nawet odnajduje ją w książkach historycznych, w obcych przekła-

dach, niż w twórczości własnej. Stąd biblioteki skarżą się na niepoczytność wielu współczesnych autorów polskich, przy dużym zapotrzebowaniu na literaturę zagraniczną, zwłaszcza literaturę społecznie zarysowaną, pozbawioną jednak akcentów taniej agitacji, taniej afektacji, czy taniego mentorstwa.

Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że dotąd czytelnik inteligentki jest czynnikiem decydującym na rynku czytelnicy.

Nie znaczy to oczywiście, żeby robotnik nie czytał. Przeciwnie. Czyta, czyta nawet bardzo wiele.

Jak dotąd czyta jednak Prusa, Sienkiewicza Reymonta, rzadziej już Żeromskiego. Z bardziej współczesnych pisarzy entuzjastycznie sę Broniewskim, czyta Morcinka, Gojawiczyńską, Kruczkowskiego, Boguszewską, nigdy zaś Kaden - Bandrowskiego. Dużą popularnością cieszą się historyczne powieści biograficzne. Z radzieckiej literatury: Szolochow, Piotr I Tolstoj i ciągle jeszcze „Cement“ Gladkowa. Współczesna za to książka brana jest do ręki niechętnie i przeważnie w robotniczych bibliotekach leży nieczytana.

Odpowiedź na to dziwne naporz zjawisko jest stosunkowo prosta. Robotnik czyta zarówno dla przyjemności, jak i dlatego, żeby się czegoś nauczyć. Jest to jedna z form i odpoczynku i samokształcenia. Robotnik lubi wyrazistą fabułę i wyraziste charaktery. — Człowiek rozszczępiony, człowiek w trzecim wymiarze jest mu natomiast obcy. Ale człowiek nieprawdziwy jest dlań zjawiskiem niezrozumiałym. Dlatego robotnik nie lubi książki nieprawdziwej i książki uproszczonej, nawet kiedy to jest książka o nim samym i dla niego napisana. Z dwojga złego woli już dobrą, prawdziwą książkę z życia obcej mu warstwy, którą pozna i w ten sposób uczy się patrzeć również i na swoje życie.

Jest to więc naogół czytelnik trudny; jest to rynek czytelnicy, który dopiero się tworzy. Zwłaszcza, że robotnik nie chce prostackiej literatury, nie chce wulgarnych podpowiadaczy. Robotnik szuka prostej książki o prawdziwym życiu. Dla zdobycia rynku robotniczego nie trzeba w tych warunkach pisać na tematy robotnicze. Klasa robotnicza jest w trakcie przerażania się w inteligencję pracującą i każda literatura o prawdzie człowieka, o prawdzie życia, nie zagubionego w poszukiwaniu własnych doznań życia ujętego realistycznie w swoim twórczym tragizmie historycznej drogi, może zawsze liczyć na łatwe zdobycie robotniczego czytelnika.

Musimy zwłaszcza pamiętać, że zadania nasze w stosunku do robotniczego czytelnika są dziś bardzo poważne. Rynek robotniczy trzeba nie tylko zdobyć. Rynek robotniczy trzeba ukształtować. Robotnik nie jest cudem natury. Jest to zwykły człowiek o normalnych ludzkich instynktach, ukochaniach i nienawiściach. Warunki jego bytu i warunki jego walki kształtują jego świadomość. Ale świadomość jego kształtuje również stara tradycja i drobnomieszczańska mentalność, spotęgowana jeszcze w okresie okupacji, w którym zawód szmuglera stał się drugim zawodem polskiej klasy robotniczej. Wystarczy przeczytać pamiętniki robotnika z czasów okupacji, żeby się przekonać, z jakim potwornym dziełem mamy dziś do czynienia w szeregach nawet klasy robotniczej. Naszym obowiązkiem jest pomóc klasie robotniczej, przełamać dlań ją koszmar epoki, która odeszła. Nie wystarczy nienawidzić kapitalizmu, żeby zbudować nowy świat. Nienawidź wystarczy, żeby stary świat zburzyć, lecz to jeszcze zbyt mało, żeby go budować, a co najważniejsze, żeby świat zmienić.

Zdobywca pierwszej nagrody w konkursie Komisji Centralnej Związków Zawodowych na pamiętnik robotnika z okresu okupacji — Kazimierz Szymczak — pisał:

Rozpacz właściwa jest tym, którzy nie rozumieją zła, nie widzą wyjścia, nie są zdolni do walki.

Lenin

TREŚĆ NUMERU:

WŁODZIMIERZ SOKORSKI —
PROBLEM LITERATURY

SEWERYN POLLAK —
TEATRY I LUDZIE

ROGER VAILLAND —
KONIEC AWANGARDY

GEORG LUKACS —
POWIEŚĆ JAKO MIESZCZAŃSKA
EPOPEA (III)

ALEKSANDER WAT —

* * *

CZESŁAW BIELSKI —
STENDHAL PO RAZ PIERWSZY

KAZIMIERZ BRANDYS —
SAMSON (III)

JACEK BOCHENSKI —
OGRÓD (II)

KAJETAN KOTOWICZ —
TRĄBA ARCHANIOŁA
I SANDACZ

ADOLF SOWIŃSKI —
POEZJA LUCJANA SZENWALDA

JULIUSZ ŻULAWSKI —
RZECZ O WOLNOŚCI

STEFAN ŻÓLKIEWSKI —
NAD KLASYKAMI

KORRESPONDENCJA

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

„Piszę dla kontroli własnego życia, aby, gdy spojrzę wstecz, zrozumieć, że moje postępowanie zgodne było z ogólnymi prawami ludzkości. Chcę przekazać moje życie przyszłemu pokoleniom, by i one mogły spojrzeć w przeszłość i by mogły prowadzić lepsze życie, niż ja”.

W innym miejscu na zapytanie, jaka książka jest potrzebna robotnikowi, tenże Szymczak odpowiada:

„Najlepsza książka dla ludzi pracy, to książka o nich samych, o tym, co zdobyli własnym wysiłkiem w ciężkim nieraz trudzie. Książka winna zawierać napiętowanie błędów i wskazane drogi do naprawienia zła. Dziś, w nowych warunkach, kiedy pozycja człowieka pracy zmieniła się zasadniczo, gdy otworzyły się dla niego szkoły i akademie, robotnik domaga się od autorów nowego spojrzenia w nasz świat. Domaga się odpowiedzi co i dlaczego musimy jeszcze w tym świecie zmienić”.

I taką książkę powinniśmy dać polskiej klasie robotniczej.

Kto jednak i w jaki sposób winien stać się motorem nowej rzeczywistości literackiej?

I powiedzmy sobie odrazu. Nie Ministerstwo Kultury i nie Komisja Centralna Zw. Zawodowych. Obydwie instytucje winny stanowić czynnik koordynacji, czynnik planujący oraz czynnik rozumnej kontroli społecznej. Winny być społecznym oparciem dla twórczego pisarza.

Przełom dokonany musi być przez samych pisarzy, pod kierunkiem i przy bezpośredniej twórczej inicjatywie Związku Zawodowego Pisarzy.

I dlatego powinniśmy w pierwszym rzędzie sprecyzować zadania i rolę w dzisiejszej rzeczywistości Związku Zawodowego Literatów? Czy Związek winien być czynnikiem obrony interesów materialnych? — Niewątpliwie tak. Lecz to jest za mało, to dziś jest szkodliwie mało. Związki Zawodowe są obecnie wielkim rezerwuarem niewyczerpanej inicjatywy społecznej. Ze Związków Zawodowych wyszło hasło współzawodnictwa pracy, które staje się początkiem nowej rewolucji technicznej w Polsce. — Z szeregów Związku Zawodowego Literatów winna wyjść inicjatywa nowej rzeczywistości literackiej, która stanie się początkiem rewolucji kulturalnej w Polsce. —

Związek Zawodowy winien w oparciu o ideologię partii demokratycznych, a w pierwszym rządzie partii robotniczych i w oparciu o masową bazę ruchu zawodowego stać się kuźnią nowej myśli artystycznej. Kluby literackie, kluby dyskusyjne, do których należy zapraszać nie tylko intelektualistów, lecz również działaczy społecznych i takich właśnie Szymczaków oraz Ireny Nieznaniec, winny stać się w tych warunkach wielką dźwignią nowych poczynań i nowych przeżytych artystycznych. Należy organizować coraz częstsze wypadki do fabryk, do świetlic robotniczych, żeby móc się spotkać z ostro postawioną problematyką odbudowy kraju, problematyką społeczną dnia dzisiejszego.

Niech się w Polsce zaczniesz nareszcie mówić o problematyce polskiej literatury. — Niech będą organizowane wieczory autorskie dla polskiej inteligencji i dla ludzi pracy. Musimy naszą dyskusję i naszą problematykę Polski Współczesnej zarazić i piśmiennymi i czytającymi. Czytelnik ma prawo bezpośredniego osądu, krytyk ma prawo rzeczywistej oceny. Pisarz ma prawo bezpośredniej obrony. O Związku Zawodowym Literatów winno się mówić nie tylko z okazji zjazdów, winno się mówić cały rok. — I w biurze, i w fabryce, i w klubie dyskusyjnym.

Wierzę głęboko, że jeżeli tak podejmiemy do tego zagadnienia, to w oparciu o tak

silnych przyjaciół, jak partie demokratyczne, Związek Zawodowy i Ministerstwo Kultury i Sztuki, potrafimy ruszyć z miejsca problem nowej literatury nowego okresu.

Dla dokonania jednak tego wielkiego dzieła musimy jasno i wyraźnie, szczerze i po męsku porozumieć się, o co nam właściwie chodzi.

Bo wszystkim nam w istocie chodzi o człowieka. O jego drogę do nowej rzeczywistości. O jego świadome spojrzenie. — O przezwyciężenie lęku przed okrucieństwem świata. O zwycięstwo rozumu nad żywiołem instynktów, zaborców i zbrod-

ni. O przetworzenie dotychczasowej drogi człowieka, drogi wyzysku, eksploatacji, mordy i wojen, na drogę zwycięstwa myśli naukowej, myśli planującej, myśli świadomej. O przekucie pesymistycznego wzruszenia ramion „to wszystko było” na twórcze twierdzenie „to jeszcze będzie”.

Ludzkość toczy dziś wielką walkę, rozstrzygającą walkę o wolność, niezależność swoich narodów, o historyczną misję świata pracy, o pokój.

Na tych szlakach ludzkich zmagania, ludzkiej myśli i ludzkiej twórczości, nie może zabraknąć polskiego pisarza.

Włodzimierz Sokorski

SEWERYN POLLAK

TEATRY I LUDZIE

Notatki z podróży (II)

WSPOMNIAŁEM już o publiczności teatralnej. Cóż ją w teatrze zajmuje, jakie zagadnienia stawia przed nią teatr i jak na zagadnienia te reaguje widownia? Wszystkie teatry moskiewskie są teatrami repertuarowymi, to znaczy, że każdy z nich w każdym dniu tygodnia gra inną sztukę — klasyczną lub współczesną. Ponieważ w Moskwie prócz teatrów dziecięcych, młodzieżowych i kuźniekowskich naliczyłem — z programów sądząc — dwadzieścia wielkich scen — repertuar jest więc tak wielki, że można by, sądząc, co dzień przez okrągły rok oglądać inne widowisko. Prócz tego istnieje zwyczaj, że kilka teatrów wystawia w tym samym czasie tą samą sztukę — tak powstaje możliwość porównywania interpretacji i gry aktorów, w czym publiczność teatralna Moskwy zdaje się być rozmówiona.

Rozpiętość repertuaru jest ogromna — od Calderona po Sheridaną „Szkole obmowy” i od Lope de Vegi do „Zagadnienia rosyjskiego” Simonowa, do sztuk poruszających najbardziej aktualne problemy polityczne i społeczne. O repertuarze klasycznym nie będę tu mówił wiele, wystarczy wspomnieć, że z jednakim powodzeniem grane są zarówno sztuki klasyczne zachodnio - europejskie, jak i rosyjskie, oczywiście z wybitną przewagą tych ostatnich. — Gogol, Ostrowski i Czechow nie schodzą dosłownie z afiszów i to nie tylko scen oficjalnych, zawodowych, lecz i teatrów Domów Kultury i amatorskich. Do tego jednak zagadnienia należy powrócić osobno, tymczasem zajmijmy się problematyką sztuk współczesnych, gdyż ona właśnie pozwoli nam wejść choćby pobieżnie w głąb życia Związku Radzieckiego.

* * *

Widziałem w Moskwie trzy utwory sceniczne, oparte na zagadnieniach życia współczesnego: przeróbkę powieści Fadiejewa „Młoda gwardia” w teatrze im. Wachtangowa, „Wielką moc” B. Romaszowa w Teatrze Małym, oraz „Gubernatora prowincji” braci Tur i L. Szejnina w teatrze im. Lenińskiego Komsomolu.

Jeżeli chodzi o „Młoda gwardia”, która nie jest zresztą utworem scenicznym w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz raczej inscenizacją o charakterze widowiska, gdzie efekty świetlne i akustyczne grają równie silną rolę jak i gra aktorów i gdzie do wyraznie teatralnych — dołączono elementy filmowe, sprzyja to może wytworzeniu zamierzzonego przez reżysera nastroju, lecz osłabia jednolitość wyrazu dramatycznego. — Jeżeli więc chodzi o „Młoda gwardia”, to jest to utwór poświęcony, jakby Francuzi powiedzieli, młodzieżowemu ruchowi oporu w latach okupacji. Nie widziałem, niestety, tej sztuki w Teatrze Dramatycznym, gdzie podobno, jak mówili mi znajacy, była ona wystawiona lepiej, niż w Teatrze im. Wachtangowa, zdaje mi się jednak, że trudno było zrobić coś znacznie lepszego z przeróbki, gdzie siłą rzeczy zostały uproszczone, jeśli nie wyeliminowane całkowicie te elementy powieści, które stanowiły o jej wartości artystycznej i o jej artystycznym oddziaływaniu. Powieść Fadiejewa czytałem kilka tygodni przedtem z prawdziwym zainteresowaniem, jej przeróbka sceniczna, o galacjąca fabułę z całej nadbudowy komentarza autorskiego i sugestywności stylu — pozostała jedynie opowieść o prostołiniowej w charakterach patriotycznej młodzieży, wyidealizowane portrety autentycznych bohaterów autentycznych wydarzeń, wprowadzone do przesuwających się jak w kinie scen, nie powiązanych ze sobą organicznie — nie tylko jednością fabuły, lecz także jednością głębszą, jednością artystycznej koncepcji.

Znacznie bardziej były interesujące dwa następane wspomniane tu przedstawienia. —

Ani Romaszow, ani też bracia Tur i Szejnin nie zakładali pisząc swe sztuki wielkich koncepcji artystycznych — sztuki ich nie są obliczone „na wieki”, przeciwnie, poruszają zagadnienia bardzo żywe, bardzo aktualne na dziś, lecz w najbliższej przyszłości — wraz z dezaktualizacją ich tematów — skazane na zapomnienie. Niemniej, oba utwory, doskonale zbudowane, konsekwentne w rozwoju akcji, żywej i potocznej, zwłaszcza w „Gubernatorze prowincji” — zdają się być świetnymi instrumentami do przekazywania publiczności w przystępnej teatralnej formie zagadnień rzeczywistości radzieckiej. Oczywiście różnice w rozwiązaniu artystycznym, w ujęciu tematu są pomiędzy nimi znaczne, lecz nie jest to dla nas w tej chwili ważne.

* * *

W „Wielkiej mocy” autor każe widzowi zastanowić się nad dwoma zagadnieniami, z których oba są zasadnicze dla powojennej Rosji — jest to problem rodziny i problem stosunku do Zachodu i osiągnięcie jego kultury materialnej. Warunki powojenne wpłynęły oczywiście — jak i wszędzie — na pewne rozprężenie obyczajów, a w związku z tym na rozluźnienie więzów rodzinnych. W połączeniu z ogromnym ubytkiem ludności stało się to zjawiskiem społecznym bardzo groźnym, któremu za wszelką cenę należy położyć kres. Prócz zarządzeń prawnych, zmierzających do wzmocnienia rodziny, jak utrudnienie rozwoju, nowe prawo alimentacyjne, nowe przepisy o dzieciach nieślubnych, rząd rozpoczął wielką akcję propagandową w tych sprawach, a jednym z odcinków tej akcji jest teatr.

Drugim poważnym zagadnieniem społeczno - politycznym jest stosunek do Europy Zachodniej i Ameryki, z czym łączą się dążenia do zmiany pewnych, panujących po wojnie wśród Rosjan, nastawień kulturalnych.

Dwa przykłady zaczerpnięte z drukowanego w I numerze miesięcznika „Znamia” artykułu poety rosyjskiego Pawła Antokolskiego: „O poezji, wychowaniu młodzieży i kulturze” — ułatwią nam zrozumienie tego zagadnienia:

Pewien rosyjski oficer, idąc ulicą małego pruskiego miasteczka usłyszał nagle za swoimi plecami głos niemieckiej dziewczyny, która z pogardą mówiła do swoich towarzyszy:

— Oto kultura rosyjska! Spójrzcie na tego oficera — starszy lejtnant, a chodzi z rękami w kieszeniach! Co za obrzydliwostwo!

Lejtnant, który znał język niemiecki, podszeł do Niemki i nawiązał z nią rozmowę. Po kilku minutach okazało się, że nie czytała ona Goethego, słyszała jedynie o operze „Faust”, a o istnieniu „Nibelungów” w ogóle nie miała pojęcia. Za to, jak mówi Antokolski, uważała się za powolaną do ferowania wyroków o kulturze ludzi chodzących z rękami w kieszeni.

Drugim przykładem, zahaczającym o znacznie poważniejsze zagadnienia, jest wyjątek z mowy Manuillskiego, wygłoszonej na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa w Nowym Jorku:

„Dla nas, obywateli radzieckich, wydaje się dziwnym, gdy przy stole dyplomatycznym jeden z partnerów, odsuwając popielniczkę od swego sąsiada, rozpyla się w tysiącznych przeprosinach, podczas gdy w tej samej chwili usiłuje przesunąć granicę cudzego kraju, powiedzmy na przykład Albanii, o setki kilometrów i nie tylko że nie przeprasza, lecz urządza przy tym targi graniczne i krzyczy o stanie wojny z Albanią. Wyrażają ubolewanie, gdy ledwo końcem stopy dotkną nogi sąsiada przy stole, a w tym samym czasie wsadzają do więzień, zsyłają na wyspy republikanów, niszczą fizycznie demokratów Grecji i nie

tylko że nie wyrażają przy tym ubolewania, lecz gniewają się, gdy ich się za to krytykuje. Dziękują za podaną przez sąsiada zapałkę, a jednocześnie odbierają Indonezji naftę i surowce i nie tylko nie dziękują Indonezji, lecz wyrażają nieadowolenie, gdy Indonezja się przeciwko temu broni. Jak panowie widzicie, istnieją różne poglądy na stosunki między państwami, narodami i ludźmi!”

Jeśli uznamy, że od zachwytów nad amerykańskimi udoskonalonymi zapalniczkami i najnowszym systemem maszyn do golenia prowadzi prosta droga do zachwytów nad najnowszym systemem maszynami eksploatacji i mordy ludzi, nad armatami, czołgami i bombą atomową, a jak nie do zachwytu, to przynajmniej do lekliwych stwierdzeń w sensie: coś my znaczymy wobec tych, którzy wynaleźli udoskonalone szelki, zapalniczki i bomby atomowe — to dojdziemy do wniosku, że obrona moralna obywatela radzieckiego przed bałwochwalstwem zagranicznych żyłek ma swój głębszy sens polityczny.

Tendencja do wykazania obywatelom radzieckim, że nie ustępują zagranicy ani pod względem kultury umysłowej, ani też materialnej — zatacza coraz szersze kręgi. — Zbyt silnym, sądzą, byłoby wyrażenie, że jest to również tendencja do przelamania wytworzonego u Rosjan, którzy byli w czasie wojny na Zachodzie, kompleksu zmniejszonej wartości, przeciwnie, należałoby raczej mówić o dążeniu do wytworzenia w całym narodzie poczucia odrębności i wielkości kultury socjalistycznej, która buduje się na innych niż na Zachodzie podstawach.

„Wojna nie jest jeszcze skończona i zwycięstwo nie jest zakończone. Trwa ono w setkach i tysiącach żywych, uduchowionych, silnych i słabych istnień ludzkich. — Trwa dalej w biografacjach zwycięzców, którzy stawiają nam swoje wymagania. Trwa wreszcie w naszej pamięci — powiada Antokolski w swym artykule. — Tak samo, jak w tragiczne dni wojny, tak i dziś, po święcie zwycięstwa powiadamy, że na sztandarze naszej kultury wypisane są słowa: pod tym znakiem zwyciężysz.”

To znaczy, że kultura radziecka znów wychodzi na linie ognia...”

Nie jest to, brzo Boże, zagrzewanie do wojny, jak gotów jeszcze kto pomyśleć. — Po tej, zachodniej stronie Oceanu Spokojnego, jest to jedynie wezwanie do wytrzeźnośi, twórczej pracy budownictwa, budzenie z naturalnych po wojnie dążeń do słodkiego, spokojnego spożywania owoców zwycięstwa, a w najgorszym razie uprzedzenie o możliwości walki z tymi, którzy zechcą ją wywołać, gdy zatkaną ich nadmiar udoskonalonych zapalniczek i nożyków do golenia.

* * *

To wszystko, co napisałem powyżej, jest dygresją jedynie pozorną, w gruncie rzeczy rozwinąłem jedynie nieco szerzej, choć przytem i nieco jednostronnie, problem, na którym opiera się sztuka Romaszowa oraz częściowo wkroczyłem w zagadnienia poruszane w „Gubernatorze prowincji”.

Ponieważ jest to sztuka, którą moim zdaniem należałoby przełożyć na język polski i ponieważ wiem, że z zamiarem tłumaczenia jej nosi się Wojciech Żukrowski, omówię ją tu znacznie krócej, gdyż wierzę, że utwór ten doczeka się omówień kompetentnych polskich krytyków teatralnych. Gdyby „Sprawy Polaków” Osmańczyka przełożyć na język dramatyczny i dodać do tego konflikt amerykańsko - radziecki, a wszystko to ująć w formie lekkiej, bardzo przystępnej, nie siląc się zbytnio na najwyższą klasę artystyczną i poprzestając na przeciętnej poprawności, zdradzającej jednak doskonałą znajomość rzemiosła teatralnego — mieliśmyby receptę na „Gubernatora prowincji”. Już samo podjęcie

próby scenicznego rozwiązania zagadnienia niemieckiego pod okupacją radziecką i amerykańską, ujęcie tego zagadnienia w sposób właściwy i przekonujący z punktu widzenia politycznego — kwalifikuje „Gubernatora prowincji” do tłumaczenia na język polski i należy mieć nadzieję, że Ministerstwo Kultury i Sztuki gorliwie zakrzętnie się, aby polski tłumacz jak najszybciej otrzymał tekst tego utworu.

* * *

Nie byłem, niestety, ani na jednej sztuce z repertuaru klasycznego zachodnio-europejskiego, z klasycznego repertuaru rosyjskiego widziałem jedynie „Wujaszka Wanie” Czechowa w Mehacie (Moskowskiej Chudożestwiennyj Akademicheskiej Teatru im. Gorkiego), dawnym teatrze Stanisławskiego. Ogólnie panująca jednak tendencja w interpretacji jest — z pewnymi oczywiście odchyleniami — podobna: jest to tendencja do realizmu z dużą domieszką naturalizmu, to, co ktoś w zastosowaniu do plastyki nazwał naturrealizmem. Najbardziej rzuca się to w oczy przede wszystkim w dekoracjach i we wszelkich efektach pozateatralnych. Na krzewach przed domem „Gubernatora prowincji” rozkwitają papierowe kwiaty, w drugim akcie „Damy pikowej”, gdy wybucha burza, gdy biją pioruny, a w rozświetlanym błyskawicami parku — gdzie drzewa wyciągają ze sceny na widownię nagie, sztywne, pojedyncze gałązki — widz tylko czeka, aż po deskach sceny spłyną strumienie deszczu. Tego jedynie efektu brakuje dla całokształtu wrażenia „dosłowności” wizji. Wychodzi się to wszystko oczywiście z teatru Stanisławskiego, który, aby stworzyć wrażenie upływu czasu pomiędzy jednym a drugim aktem „Winiowego Sadu”, zdejmował obrazy ze ścian, odsłaniając jaśniejsze, nieprzybrudzone prostokąty na tapetach. Lecz to, co w Mehacie miało jeszcze charakter symbolu, stało się w dzisiejszym teatrze rosyjskim jedynie środkiem do wytworzenia iluzji rzeczywistości, bez skrótów syntetycznych, konstruktywnych.

Byłoby błędne mówić, że to samo dotyczy gry aktorskiej — posiada ona w Rosji wspaniałe tradycje, po dziś dzień kulturowane. W tej dziedzinie rozpiętość interpretacji jest znacznie większa: od symbolistycznego, oszczędnego w gestach, zwróconego w głąb, z naciskiem na psychologizm — teatru Stanisławskiego, poprzez skłonność do ekspresyjnego gestu w teatrze Wachtangowa aż do interpretacji ściśle realistycznych, pozabawionych jednak — jak to widzieliśmy w dekoracjach — tendencji naturalistycznych.

* * *

„Nie wolno tekstu autora, mieszczącego się w równoległych wierszach sztuki, wypowiadać równoległe, to znaczy nie czując go.”

Tylko te słowa dramaturga będą używane i rozumiane przez widza, które wyrosną z serca aktora.

A wtedy każde słowo dramaturga, cała rola, cała sztuka osiągnie trzeci wymiar.

I nie jest to naruszeniem praw ojcostwa dramaturga — jest to wyrazem wielkiego szacunku aktora dla niego, i to właśnie stanowi sens zawodu aktorskiego.

Słowo, wypowiedziane bez powodu, nie brzmi.

Reżyser i aktor powinni doszukiwać się przyczyny słów, wewnętrznych sprężyn czynów.

Im głębsza jest przyczyna — tym jest wznioślejsze, wolniejsze, bardziej jaskrawe słowo.”

Przytoczone powyżej zdania wyjąłem z „Uwag reżysera” pisanych przez Serafinę Birman, znakomitą reżyserkę i wspaniałą aktorkę.

Poznałem Serafinę Birman w WTO (Wsierosijskoje Teatralnoje Obszczestwo — Wszechrosyjskie Towarzystwo Teatralne). Zapytała mnie, jaką sztukę widziałem ostatnio w Moskwie. Powiedziałem, że „Wujaszka Wanie“.

— I co pan o tym sądzi?

Wyraziłem szczerze swój zachwyt dla znakomitej gry aktorów, dodałem jednak, że mam wrażenie, iż interpretacja reżyserka tej sztuki i sposób w jaki jest grana, nie zmieniły się zapewne przynajmniej od lat trzydziestu.

Poruszyłem widocznie czulą strunę, gdyż Birman zareagowała bardzo gwałtownie:

— Ależ oczywiście. Tu pan utrafił w sedno. To właśnie było powodem, że dwadzieścia lat temu zerwałam z teatrem Stanisławskiego, pomimo jego wspaniałych osiągnięć. Cieszę się, że pan, cudzoziemiec, potrafił to odczuć. Niech pan przyjdzie dziś wieczorem na pokaz fragmentów sztuki Gorkiego — zobaczy pan inną jeszcze grę.

Byłem na tym pokazie — jednym z wielu urządzanych przez WTO dla ludzi teatru, aktorów, reżyserów, krytyków.

Nie jestem „człowiekiem teatru“, uwagi moje są uwagami dyletanta w tej dziedzinie, lecz pokaz w WTO długo będzie dla mnie wzorem gry aktorskiej. W pokazie brali udział różni aktorzy — reprezentujący różne kierunki, jedno ich łączyło — była to gra aktorska na najwyższym poziomie, jaki kiedykolwiek w życiu widziałem.

Kilka godzin przedtem słyszałem płytę z monologiem Barona z „Na dzień“, wypowiedzianym przez wielkiego aktora Mchatu, Kaczalowa. O jego lirycznym, powściągliwym, pełnym filozoficznej głębi, bardzo intelektualnym ujmowaniu roli pisano zbyt wiele, abym tu powtarzał. Na pokazie WTO tę samą rolę grał Wierbicki z Popową jako partnerką w roli Nasti. Aktorzy grali w wieczorowych strojach na tle kotar, bez żadnych sugestii dekoracji. Realistyczne ujęcie, głębokie odczucie roli wytwarzały jednak sugestie większe niż dekoracje. Wbrew woli widza zmuszały go, by wszedł w świat nędzarzy Gorkiego. Serafina Birman grała w fragmencie z „Wassy Zeleznowej“. Gra jej, znacznie bardziej ekspresyjna, zarówno w zabarwieniu słowa jak i w ruchach, również nie wykracza poza granice gry realistycznej, choć zdania przez nią mówione posiadają w sobie taki żar



K. S. Stanisławski

uczucie, że wtapia się on po prostu w ich tkankę znaczeniową. I to właśnie uwypuklenie przez odczucie intencji autora jest bodaj tym trzecim wymiarem, o którym mówi Birman w cytowanych powyżej „Uwagach reżysera“.

Nie sądzę jednak, by było to odkryciem Serafiny Birman. Ów trzeci wymiar

— to wymiar jej talentu, to wymiar, który wnosi do sztuki każdy aktor, jeśli jest aktorem prawdziwym.

* * *

Chyba niewiele znajdzie się na świecie instytucji o takiej rozpiętości pracy nad zagadnieniami teatru, jak WTO. W gabinetach naukowych WTO koncentruje się cały dorobek rosyjskiej kultury teatralnej — zbiory biblioteczne, zbiory pism, zbiory afiszów, fotografii ról i przedstawień. Widziałem gabinet szekspiologii, dramaturgii klasycznej, współczesnej, Gorkiego, teatrów słowiańskich, teatrów kukielkowych, bibliografii. W gabinecie bibliograficznym odnotowane są najdrobniejsze wzmianki prasowe o aktorach i teatrach. W gabinecie teatrów słowiańskich widziałem albumy ze zdjęciami „Celestyny“ i z wystawianej w Warszawie „Orestei“. Nie ja im, lecz oni — rosyjscy reżyserowie i aktorzy, którzy nigdy nie byli w Polsce — mnie wymieniali nazwiska wybitniejszych polskich aktorów i reżyserów.

Gabinety naukowe WTO prowadzą szeroką działalność pedagogiczną i wydawniczą. Każdy aktor, każdy reżyser z prowincji chcąc wystawić jakąś sztukę, znajdzie dla jej interpretacji gotowy kształt i wzór. Znajdzie gotowe już wzory kostiumów i charakterystyk, ustalone, utrwalone na fotografii sposoby gry — gest, akcent mimiczny. Gdy wystawia sztukę historyczną, nie musi się błąkać w dżungli kostiumologii, a w studio utrwalania głosów może każdej chwili — jak my Kaczalowa — usłyszeć głos, dykcję najznakomitszych aktorów.

W rozmowie z kierownikami WTO wyraziłem jedną wątpliwość, że podawanie gotowych wzorów może prowadzić do skostnienia, do wytworzenia pewnego jednolitego szablonu gry aktorskiej.

— Nie każdy może być nowatorem — odpowiedziano mi — a ważniejsze, niż odkrycia nowych rozwiązań formalnych, przy tej ilości teatrów, jaką posiada Związek Radziecki, — jest to, aby każde przedstawienie na prowincji było na pewnym poziomie artystycznym. System dawania teatrom prowincjonalnym gotowych wzorów chroni przynajmniej przed partactwem i dyletancką improwizacją.

Pokiwałem tylko głową. Tak, mieli rację.

Seweryn Pollak

ROGER VAILLAND

KONIEC AWANGARDY

Przekład M. Z.

SĄDZI SIĘ chętnie, iż czasy powojenne są zawsze do siebie podobne. Jedna awangarda zastępuje drugą, egzystencjalizm zajmuje miejsce surrealizmu, boogie woogie charlestona, i wszystko idzie jak najlepiej w najlepszej literaturze świata.

Jedna wszakże różnica. Pewnego wieczoru byłem na premierze nowej sztuki Salacrou — Archipelag Lenoira. Pół dramat, pół farsa, te dwa zjadliwe akty dawniej byłyby wywołały skandal: czcigodny ojciec bogatej mieszczańskiej rodziny zostaje przez własne dzieci skazany na śmierć, żeby uniknąć skandalu towarzyskiego. Religia została wyszydzona i, szczyt zgrozy: z wychowanka szkoły wojskowej w Saint-Cyr, nietykalnej świętości Francji, zrobiono błazna. Jeszcze dziesięć lat temu, wszyscy wychowankowie Saint-Cyr zjednoczyli by się, żądając od autora publicznych przeprosin, dzisiaj nawet krytyk z Figaro okazuje swoją przychylność, a wychowankowie Saint-Cyr, przyglądający się przedstawieniu, uprzejmie je oklaskują; czy nie poto, aby zaświadczyć, iż nie są tak nieprzystępni sprawom intelektualnym jak się to o nich mówi?

Czyż znaczyło by to, że wielka mieszczańska publiczność nagle dopełniła swego wykształcenia i teraz z całego serca sprzyja wszelkim zuchwalstwom?

Na pewno tak, jeśli te zuchwalstwa są czysto formalne. Wybryki „letrystów“ spotkały się niedawno z uznaniem poważnego i luksusowego czasopisma, którego cena jest zapewne niedostępna dla szerokiej publiczności. Bibliofili kupują na wagę złota pierwsze wydania wczesnych utworów André Bretona.

I odwrotnie: zmowa milczenia, która ugodziła w 1925 r. pierwszych surrealistów, kieruje się dzisiaj przeciw pisarzom posądzanym o marksizm.

Jeśli przypadkiem mówi się o nich, to poto tylko, żeby machnąć ręką na ich nieokrzesanie, prostactwo, na ich intelektualizm, który zniesławia umysł ludzki „wielbiąc Stalina jak Boga“. Taką samą pogardę, jeszcze bardziej nienawistną, okazywano przed dwudziestu laty lekceważonym dadaistom, którzy przyczepiali wąsy Giocondzie. Zapewne między jednym a drugim okresem powojennym słowo awangarda zmieniło swoje znaczenie.

1920 — 1930

Pierwsza wojna światowa wstrząsnęła fundamentami mieszczańskiej rodziny. Młodzi ludzie skorzystali z nieobecności ojca, aby wieczorami wychodzić samotnie i w mroku kina uczyć się przyjemności niegdys zakazanych. Gide poucza Nathaniela o konieczności oswobodzenia się od rodziny. Młody człowiek, chcąc wyzwolić młodą dziewczynę z jej środowiska, daje jej do czytania „Pokarmy ziemskie“; jest do głębi wstrząśnięta, grunt był już podatny; wystarczyło tylko czekać „okazji“, jak mówił Laoclos.

Mieszczańscy moralści wierzą jeszcze w moralność mieszczańską i potępiają Gide'a. Zdrowo myślące artykuły potępiają go jako najoczywistsze wcielenie szatana, prowadzi się przeciw niemu kampanię prasową. Wszystko to, pod rządami Marszałka Pétaina, skończy się zakazem zabraniającym Gide'owi „demoralizatorowi młodzieży francuskiej, a więc tym samym jednemu z tych, którzy przygotowali klęskę“, wygłoszenia bardzo niewinnego odczytu o poecie Henry Michaux.

Dzieci drobnego mieszczaństwa stanęły tymczasem wobec świata, który uważały za nonsensowny. Przygoda, jeszcze możliwa w końcu XIX w., w rozkwicie kapita-

lizmu, teraz stała się niedostępna. W 1920 r. chłopiec bez pieniędzy i bez stosunków nie mógł mieć żadnej nadziei, że zostanie kiedyś dyrektorem fabryki lub założycielem „kantoru“ w koloniach; koncentracja przedsiębiorstw i kapitałów rezerwowała los „nieprzeciętny“ wyłącznie dla synów 200 rodzin.

Ci spośród synów drobnego mieszczaństwa, którzy nie rezygnowali, byli zagnani w rozwiązania skrajne, ściśle mówiąc te, które im podsuwała awangarda literacka.

Dla najmniej zuchwałych — po prostu „ucieczka“. Słynna literatura „ucieczki“. Przybrała ona wszystkie formy. Z Paul Morandem uciekano „w cały świat“, z Chadournem na Tahiti, z Cendrarsem w dżungle Amazonki lub do kopalni złota w Klondyke. Z Cocteau uciekano do sztucznych rajów opium lub religii. Cocteau prowadził publiczną korespondencję z Martinem, Max Jacob nawrócił się na kato-licyzm, przez cały rok panowała moda ciawróceń — tak jak dzisiaj moda długich sukien. Z René Guenon i Rolland de Renneville uciekano w „tradycjonalizm“ i święte praktyki Yogów

Innym ofiarowano „rewolucję surrealistyczną“. Była to nie tyle szkoła literacka, ile praktykowanie pewnego stylu życia. Pisanie tekstów „automatycznych“ było niczem innym jak jedną z wielu tzw. wówczas działalnością surrealistycznych. Systematyczne stwarzanie skandalu, „zabawa w prawdę“, albo fabrykowanie „przedmiotów przerażających“, miało z punktu widzenia surrealistów takie samo, jeśli nie większe znaczenie. Poza tym, rzecz prosta, robiono obrazy z wycinków gazet i kawałeczków zapalek. „Posadziłem sobie piękno na kolanach i znieważylem je“ (Arthur Rimbaud).

Innym ofiarowano wreszcie przygodę, taką jak ją pojmował Malraux. Przybie- rała ona pozornie różnorodne aspekty:

bądź przelotne przzymierze z komunistami, by robić (i partaczyć) rewolucję w Chinach, bądź rozbójnicką wyprawę na własny rachunek w gęstwinie Ankoru, czy też wyprawę archeologiczną w pustynię Arabii. W ostatecznym wyniku zawsze chodziło o to, aby za pomocą środków bohater- skich uciec od nudy i śmiechności ma- lomieszczańskiego świata.

Oficjalna krytyka i „opinia publiczna“ kół zdrowo myślących potępiła surre- alizm jeszcze gwałtowniej niż Gide'a, za- le dwie dla literatury „ucieczki“ i Malraux mając nieco więcej popobieżania. Wszystko to przybrało pozory walki toczonej przez żywą literaturę „awangardy“ przeciw aka- demizmowi, przeciw martwej tradycji, przeciw reakcyjnej literaturze i sztuce.

Ale chodziło tylko o walkę wewnętrzną między dwoma odłamami klasy rządzącej. Mieszczańskie dzieci zbuntowały się wraz z Gidem przeciw tradycji rodzinnej, zachwianej skutkami wielkiej wojny, ma- lomieszczańscy synowie wraz z surrealistami lub Malraux zbuntowali się przeciw non- sensownym warunkom życia, które stworzył im ginący ustrój. Olbrzymia większość narodu francuskiego nie miała w tych zagadnieniach nic do roboty. Nie czytała ani Gide'a, ani Bretona, ani Cocteau, ani nawet Malraux. Dwaj ostatni wielcy ludo- wi pisarze francuscy — to Hugo i Zola. Od czasu, kiedy cała ludność Francji zgro- madziła się na ich pogrzebach, Francja miała już tylko literaturę klasową.

Wojna, okupacja i Ruch Oporu spowo- dowały dwa rodzaje zjawisk, których lite- rackie konsekwencje we Francji jeszcze się nie skończyły.

Malomieszczańscy pisarze, byli surrea- liści, albo uczniowie Gide'a czy Malraux, zostali dobrowolnie lub z przymusu za- mieszani w wydarzenia, które wstrząsnęły

ich ojczyzną. Nie sposób było uchylić się, lub pozostać na marginesie. Nie brać udziału, oznaczało właśnie brać udział.

Niektórzy z nich upierali się stawiać na „nonsens”. Ci współpracowali z „Paris Soir”, o orientacji proniemieckiej, lub z Radio Paris. „Niemcy mi obrzydli, mówił mi wówczas jeden z nich, Francuzi mi obrzydli, Anglicy mi obrzydli, wszystko mi obrzydło — ja sam sobie obrzydłem, cóż więc ma za znaczenie, czy współpracuję z Niemcami czy z Ruchem Oporu?”

Inni wzięli udział w walce, wstąpili do szeregów Ruchu Oporu i poznali lud francuski od jego najlepszej strony, walcząc z nim ramię przy ramieniu. Ci wiedzą, że dzisiaj walka nie jest skończona, prowadzą ją nadal w tych smokach szeregach, piszą być może więcej artykułów i broszur polemicznych niż poematów i powieści, dziś bowiem obowiązuje postępowanie do-

raźne we wszystkich zagadnieniach. Zresztą, jedno nie przeszkadza drugiemu. Pierre Courtade pisał swe baśnie poetyckie jednocześnie z wstępnymi artykułami w „Humanité” o polityce zagranicznej.

Obok tego, wojna utrudniła reakcyjnemu mieszczaństwu dalszą obronę swych tradycyjnych wartości. Zawodowcy patriotyzmu czują się nieco zakłopotani po czteroletniej współpracy z Hitlerem i Pétainem, przeciwko dawnym antymilitarystom, którzy stali się wodzami zbrojnego oporu przeciw najeźdźcy. Zdrada kardynałów uczyniła dość trudną pozycję wyznawców Peguy. Ach! Matko Boska z Chartres, wiekiste serce Francji!.. Purytańska moralność? Jakże mogą jej bronić ci, którzy uprawomocnili i popierali wywołanie „półnych dziewcząt”?

Reakcyjne mieszczaństwo francuskie musiało uwolnić się od balastu. Resztkę

swych sił koncentruje dziś przeciw jedy-nemu wrogowi, w którym widzi prawdziwe niebezpieczeństwo: przeciw komuniz-mowi. Dość walk wewnętrznych! Przyj-muje się wszystkich sprzymierzeńców, na-wet surrealistów, egzystencjalistów, pede-rastów, świętokradców, zbiegów, sadystów. Tym gorzej dla moralności, religii, Saint-Cyr i Sacre Coeur. Wszystko, co da się u-żyć przeciwko komunizmowi, jest dobre. Wspólny front przeciw marksizmom. War-to zobaczyć, jak wielkim człowiekiem stał się Malraux od kiedy de Gaulle zrobił go swym prywatnym doradcą we wszystkich sprawach kulturalnych.

Wchłonięciem przez reakcję awangardy z przed 40 r. i jej odchyleń typu egzystenc-jalistycznego — oto charakterystyczne zjawisko obecnych lat powojennych.

Nie ma już dziś mowy o skandalu arty-stycznym czy literackim. Cały Paryż zgro-

madził się na ostatniej wystawie surreali-stów, powieści Sartre'a osiągnęły wysokie nakłady, w modnych knajpkach recytuje się wiersze „Ietrystów”, dodatek literacki „Figara” otworzył swe kolumny dla An-dré Bretona. Można jest tylko jeden skandal — nawet w dziedzinie literatury: być komunistą.

Jedyna prawdziwa awangarda w dzi-siejszej Francji to młodzi pisarze marksi-stowscy, którzy szukają po „nacku” włas-nych środków wyrazu. Jedyne prawdziwe dyskusje, to te, które, jak zeszlorczone, toczą się między dwiema grupami kole-gów „postępowców” na temat realizmu w literaturze i sztuce.

Wszystko inne, awangarda czy akade-mizm, jest niczym więcej jak walką arier-gardy klasy zepchniętej na swe ostatnie linie obronne.

Roger Vailland

GEORG LUKACS

przełożył JAN KOTT

Powieść jako mieszczańska epopea (III)

NARODZINY POWIEŚCI

Z IDEOLOGICZNEJ walki mie-szczaństwa i feudalizmu wyro-siła treść nowoczesnej powieści. Ale gwałtowne zmaganie się ze średniowiecznym poglądem na świat, które wypełnia prawie całkowicie pierwsze wielkie powieści, nie przeszkodziło w przejęciu dziedzictwa średniowiecznej sztuki epickiej. Dziedzictwo to nie ograni-cza się jedynie do tematycznych i fabular-nych wątków, które nowa powieść przyswa-ja w formach ludowych i satyrycznych, al-bo też przekształca ideologicznie. Powieść zapożycza ze średniowiecznego romanu swobodę i bogactwo kompozycji, podział na oddzielne epizody, związane ze sobą je-dynie postacią głównego bohatera, noweli-styczne wykończenie i stosunkową niezale-żność tych epizodów, szeroki obraz świata. Oczywiście, że wszystkie te elementy ule-gają głębokim przeobrażeniom treści i for-my, i to nie tylko wtedy, kiedy traktowane są parodystycznie lub satyrycznie. — Na kompozycję powieści coraz silnie oddzia-ływują cechy plebejskie. Heine słusznie u-waża to za moment decydujący: „Cervan-tes stworzył nową powieść, ponieważ w ro-mansie rycerskim uśmiercił prawdziwy o-braz klas niższych i wprowadził do niego życie ludu”.

Jednakże ten nowy materiał, którego ar-tystyczne opracowanie stworzyło nową formę powieści, nie pochodzi jedynie z re-alistycznego, bliższego samemu życiu i de-mokratycznego odnowienia awanturzystycznej tematyki średniowiecznych romansów. — W tym samym czasie przenika do powieści i proza życia. Cervantes i Rabelais, twórcy nowej powieści, wyrażają ten sam przełom, chociaż wyprowadzają z niego różne wnioski. Arystokrata Cervantesa i mieszczańca Rabelais'a, mimo, że każdy z nich widzi przed sobą inną drogę wyjścia, buntują się z jednakową siłą przeciwko poniżeniu człowieka w ginącym świecie feudałnym i w rodzącym się społeczeństwie mieszczańskim.

Jedność wzniosłości i komizmu w obra-zie don Kichota, której już nigdy potem nie

miano osiągnąć, zawdzięcza Cervantes ge-nialnemu przeciwstawieniu się najważniej-szym cechom dwóch zmieniających się e-pok: anachronicznemu heroizmowi rycer-stwa i widocznej od samego początku płas-kiej prozy mieszczańskiego społeczeństwa. Ta swoista „walka na dwa fronty” wyjaś-nia tajemnicę nieporównanej wielkości i, je-li można się tak wyrazić, fantastycznego realizmu tej pierwszej wielkiej powieści.

Sredniowiecze, owa „demokracja nie-swobody” (Marks) daje pisarzowi, właśnie w okresie swojego rozpadu, wyjątkowo bo-gaty i wielobarwny materiał postaci ludz-kich i wydarzeń. Niezawisłość i swoboda człowieka nie została jeszcze całkowicie zni-szczona (Hegel uważa ów okres za pewne-go rodzaju powrót antycznego heroizmu i słusznie wyjaśnia wielkość Szekspira bogactwem życia, jakie dawała epoka). Proza mieszczańskiego bytu była w owym okresie tylko cieniem, który padał na barwne, róż-norodne i ruchliwe życie, pełne zdumiewa-jących konfliktów i przygód; skrepowanie indywidualnego życia, okaleczenie czło-wieka przez kapitalistyczny podział pracy nie stało się jeszcze w okresie Odrodzenia pa-nującym społecznym faktem.

Jednakże owa walka z feudalizmem i z grożącym już okaleczeniem życia w spo-łeczeństwie mieszczańskim daje artyście coś więcej, niż tylko żywy materiał dla twór-kości. Barwny świat form średniowieczne-go życia nie przestaje być wzięcznym ma-teriałem, mimo najostrejszej walki z je-go społeczną treścią, a rodzące się mieszczańskie społeczeństwo i jego nową ideolo-gię przenika jeszcze patos uwolnienia ludz-kości od feudalnego poniżenia społecznego i duchowego niewolnictwa, od ekonomicz-nych i politycznych więzów średniowiecza.

Napis na bramie Telemskiego klasztoru: „Czyn co chcesz”, przeniknięty jest jeszcze dla Rabelais'go powszechnym i porywają-cym patosem oswobodzenia ludzkości; i pa-tosu tego w oczach współczesnego czytelnika nie obniża świadomość, że dewiza: „Czyn co chcesz” wyrodzi się kiedyś w o-bludne: „laissez faire, laissez passer”, tchórzliwej i nikczemnej liberalnej burżu-azji. W utopii Rabelais'go dźwięczy jeszcze ciągle natchniony patos walki z każdą for-mą okaleczenia swobodnego i wszechstron-ego rozwoju człowieka, ten sam patos, który kiedyś natchnie do historycznej wal-ki jakobinów, który doprowadzi utopistów, a zwłaszcza Fouriera, do najbardziej bez-względnej krytyki kapitalizmu. I dlatego walka Rabelais'go z prozą mieszczańskiego życia nie jest drobniomieszczańskim bun-tem przeciwko „złym stronom” cywilizacji (jak u późniejszych romantycznych prze-ciwników kapitalizmu). Utopia „złotego środka” i pogodzenia walczących ze so-bą przeciwników nie przestaje być oczy-wiście utopią również u Cervantesa i Ra-belais'go, ale jej artystyczna realizacja nie wymaga rezygnacji z wyobrażenia antago-nistycznych sił, w pełni ich wzajemnej wal-ki; dzięki temu właśnie rodząca się powieść rozwiązać może zagadnienie „dodatniego” bohatera zupełnie inaczej, niż stanie się to możliwe w przyszłości. Wielki i szlachetny poeta nie może znaleźć „dodatniego” boha-tera wśród panujących klas mieszczańskie-go społeczeństwa. Tymczasem w okresie powstawania powieści, jedyne w swoim ro-dzaju ogarnięcie społecznych sprzeczności, starych i nowych form niewolnictwa pod kątem widzenia swobody i niezależności człowieka, pozwalało powieściopisarzowi wyposażać bohatera, mimo wszystkich sa-tyrycznych i ironicznych cech, w znamiona

prawdziwej wielkości. W dalszym rozwoju krytyka, satyra i ironia unicestwiają każ-dą z dodatnich cech bohatera, tym gwałtow-niej, im bardziej panowanie burżuazji ogra-nicza ludzką indywidualność i rodzi „ludzi po mieszczańsku ograniczonych” (Engels). Im bardziej powieść staje się obrazem mieszczańskiego społeczeństwa, jego twór-czą krytyką i samokrytyką, tym wyraż-niej dźwięczy w niej rozczarowanie arty-sty, wywołane przez wewnętrzne sprzecz-ności własnego społeczeństwa, dla których nie znajduje rozwiązania. (Porównaj Swif-ta z Rabelais'em i Cervantesem).

Z charakterystycznych cech Odrodzenia wynika również swoisty styl wczesnej po-wieści: realistyczna fantastyka. Realisty-cznie uchwyczone są i pokazane przez po-wieściopisarza wielkie społeczne i ideowe zasady epoki, realistycznie przedstawione charaktery, które powieściopisarz poprzez mnogość barwnych przygód doprowadza do prawdziwego działania, do obnażenia ich rzeczywistej istoty, realistyczny jest cha-akter opisu, zarysowanie technicznych szczegółów w organicznym związku z wiel-kimi społecznymi siłami, których walka po-kazana zostaje właśnie w tych szczegółach. Ale sama fabuła nie jest oczywiście reali-styczna, lecz fantastyczna. Fantastyka wy-nika tutaj, z jednej strony, z utopijnego pojmowania wielkich sił epoki, z drugiej — z satyrycznego porównania ginącego sta-rego świata i rodzącego się nowego z wiel-kimi zasadami walki przeciwko poniżeniu człowieka. W fantastyce tej wciąż jeszcze pełno świeżej, rewolucyjnej energii twor-zącego się nowego społeczeństwa. A jed-nocześnie fantastyka ta nie jest sprzeczna z realizmem, nie kontrastuje ona nawet z artystycznym punktu widzenia z realisty-czną budową dzieła, lecz przeciwnie łączy się z nią w organiczną całość. Wypływa o-na z szerokości poglądu na świat tych pi-sarzy, ze zdolności prawidłowego uchwy-czenia i przedstawienia najważniejszych cech swojej epoki, bez względu na zewnętrzne prawdopodobieństwo poszczególnych sytuacji i związków, w których rysy te znajdują swój wyraz.

Walka ze średniowieczem przy jednoczes-nym przejęciu jego tematycznego i formal-nego dziedzictwa dała Cervantesowi i Ra-belais'mu możliwość kultywowania tej swo-istej, realistycznej fantastyki. I nawet ci pisarze, którzy w znacznie późniejszym o-kresie poświęcili swoją działalność walce z feudalizmem, mogli jeszcze, chociaż w mniej jaskrawej formie, kontynuować linię tej realistycznej fantastyki (powieści Wol-tera). Guliwer Swifta jest od strony for-malnej przedłużeniem linii Rabelais'a, ale czysto satyryczny charakter realizmu Swif-ta otwiera już nowy etap w rozwoju po-wieści.

POWIEŚĆ OGARNIA CODZIENNA RZECZYWISTOŚĆ

Swift ze swoim ponurym i pesymistycz-nym poglądem na mieszczańskie społeczeń-stwo jest niemalże osamotniony w XVIII wieku, podobnie i jego fantastyczno-satyry-czna forma zostaje poza głównym nurtem rozwoju powieści w Anglii, najważniejszym z krajów kapitalistycznych, a tak samo i we Francji. Nie znaczy to wcale, że inni pisarze w swoich dziełach pokazują fakty, mniej okrutne, sytuacje mniej straszne i mniej wstrząsające obrazy „duchowego królestwa zwierząt”, powstałego społeczeństwa kapitalistycznego, społeczeństwa pierwotnej akumulacji.

Defoe i Lesage, Filling i Smollet, Restif i Laclós, a nawet Richardson i Marivaux pokazują, każdy po swojemu taki świat, w którym znaleźć można zupełnie wystarczają-cej materiał dla pesymizmu Swifta. Ale istotny ton całego obrazu jest u tych pisa-rzy inny: jest nim zwycięstwo mieszczań-skiej wytrwałości i siły nad chaosem i sa-mowolą. Walter Scott mówi o „Gil Blasie”: „Książka ta daje czytelnikowi poczucie za-dowolenia z samego siebie i ze świata”; „Moll Flanders” Defoe'go i większość in-nych wielkich powieści tego okresu rów-nież kończy się szczęśliwym rozwiązaniem.

Pisarze ci odnoszą się pozytywnie do swojej epoki, do swojej klasy, dokonyw-jącej historycznego przewrotu. Ale to po-twierdzenie własnej roli przez mieszczań-stwo związane jest z wielką i surową kry-tyką; wszystkiej potworności, całe okru-riczeństwo pierwotnej akumulacji w Anglii, cały moralny rozkład i samowola abso-lutyzmu we Francji, wydobyty zostaje na jaw w brutalnych, realistycznych obra-zach. Można nawet powiedzieć, że wyobra-żenie cierpień rodzącego się kapitalistycz-nego społeczeństwa stworzyło po raz pierw-szy realistyczną powieść, w ścisłym zna-czeniu tego słowa. Po raz pierwszy artysty-czna literatura ogarnęła powszednią rzeczy-wistość.

Powieść porzuca bezbrzeżne obszary fan-tastyki i zwraca się zdecydowanie ku przed-stawieniu prywatnego życia mieszczańca. Dążenia powieściopisarzy do objęcia roli historia prywatnego życia występ-ują już w tym okresie z całą jasnością. — Zwązają się szerokie historyczne horyzonty wczesnej powieści, świat powieści ograni-cza się coraz bardziej do codziennej rzeczy-wistości mieszczańskiego życia, a wielkie sprzeczności społeczno - historycznego roz-woju wyobrażone są tylko w tej mierze, w jakiej przejawiają się konkretnie i aktyw-nie w tej codziennej rzeczywistości. Ale sprzeczności te są jednak pokazane i reali-zm powszedniego życia, świecą odkryta „poezja codzienności”, artystyczne zwycię-stwo nad prozą tej codzienności — wszy-stko to są jedynie środki dla konkretnego i żywego przedstawienia wielkich społecz-nych konfliktów epoki.

Oczywiście, że realizm ten daleki jest od prostego kopiowania codziennej rzeczy-wistości, od prostego odtwarzania jej zewnę-trznych cech, tak jak tego często domaga-ła się oficjalna estetyka tego czasu.

Powieściopisarze z pełną świadomością dążą do przedstawienia typowości, do tak-iego realizmu, dla którego drobiazgowo szlifowanie szczegółów jest tylko środkiem. Filling wprost pisze, że obrazy żywych lu-dzi, choćby nawet pod względem artysty-cznym w pełni udane, nie mają żadnej war-tości, o ile przedstawieni ludzie nie są ty-powi. Powołuje się on ironicznie na przy-kład jednego ze swoich znajomych, który ucziwie doszedł do znacznej fortuny; czo-łowik ten — mówi Filling — chociaż ist-nieje w rzeczywistości, na bohatera powie-ści się nie nadaje. Jednakże zasada typo-wości, która leży u podstaw każdego wiel-kiego realizmu, nie przejawia się jedynie w takim negatywnym wyborze. Filling pisze dalej: „Chociaż każdy autor powinien trzy-mać się granic prawdopodobieństwa, nie znaczy to jeszcze wcale, że opisywane przez niego charaktery czy zdarzenia mają być codzienne, powszednie, pospolite, takie, ja-kie spotyka się w każdej ulicy i w każdym domu, i o których można przeczytać w nud-nych artykułach gazet”.

TREŚĆ NR. 1—2

Władysław Broniewski — Nowe wiersze; Zdzisław Hierowski — Pisarz na Ziemiach Odzyskanych; Seweryn Pollak — Notatki z podróży; Louis Aragon — Magnitogorsk 1932; Georg Lukacs — Powieść jako mie-szczańska epopea (II); Maciej Żurowski — Wstęp do Balzaka; Konstanty Grzybowski — Problem niemiecki; Władysław Kozłowski — 8% generała Clay'a; Mieczysław Jas-trun — W sytuacji pana Jourdain; Juliusz Żulawski — Skrzydło Dedala; Stefan Szczi-paczow — Domek w Szuszeńskim; Adolf Sowiński — Z dialogów Lucjana z Samosa-ty; Kazimierz Brandys — Samson (II); Jacek Bocheński — Ogród (I); Józef Mor-ton — Owiani śmiercią; Jan Kott — Jeszcze o „Lalce” i pozytywizmie (II); Ryszard Matuszewski — Przed Mystkovicami była Grznica; Edward Szuster — Nagrodzo-ną legenda; Ewa Korzeniewska — Wzno-wienie „Chama”; Juliusz Żulawski — Z atrów Iódkich; Józef Maśliński — War-szawski skandalik z Mussetem; Stanisław Sreniowski — Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk; Kajetan Kotowicz — Fe-lieton gospodarczy; Mariusz Marga — Kronika francuska; Przegląd prasy; Ko-respondencja; Noty.

Pisarze ci odnoszą zwycięstwo nad coraz bardziej wzmagającą się prozą życia dzięki sile, energii i samodzielności swoich typowych bohaterów. Wielcy realiści tej epoki widzą, jak dalece człowiek stał się i-grazką społeczno-ekonomicznych sił, w jak małym stopniu od jego woli i moralnych zasad zależy jego własny los. Mimo to poetyczny charakter Gil Blasa, Toma Jonesa, Moll Flanders wynika z ich energicznej aktywności, jako typowych przedstawicieli klasy awansującej społecznie: życie, zależne od warunków społeczno-ekonomicznych, rzuca ich z miejsca na miejsce, a oni jednak szczęśliwie wypływają na brzeg.

Kapitalistyczne społeczeństwo przynosi początek panowania człowieka nad przyrodą, społeczne siły i ich konkretne przejawy, nie były jeszcze wtedy tak doskonale bezosobowe i całkowicie niezależne od myśli i woli jednostki, jak w utrwalonym i automatycznie funkcjonującym społeczeństwie kapitalistycznym. Byron nazywa Filinga „prozaicznym Homerem ludzkiego życia”. W tym określeniu jest tylko cząstka przesady. Niewątpliwie, w wielkich powieściach tego okresu są miejsca bliskie pierwotnemu eposowi. Tak, na przykład walka człowieka z przyrodą, będąca symbolem rodzącego się panowania społeczeństwa nad przyrodą, przedstawiona jest w pierwszej części „Robinzona” Daniela Defoe z niezrównaną siłą epicką i miejscami zbliża się rzeczywiście do natchnionej poezji antycznego eposu.

Poezja ta jest charakterystyczna dla wielu znakomych powieści tej epoki. Jest ona poetyckim wyrazem, epickim wyobrażeniem uwolnienia wytwórczych sił przez kapitalizm walczący o społeczną hegemonię. Ten postępowy charakter przejawia nad obrazami wszystkich potworności, które towarzyszyły kapitalistycznemu rozwojowi. W „Robinzonie” moment ten jest niemalże panujący i wolny od apologetycznego przemilczania przeciwności; stąd jego wyjątkowa poezja, która przejawia się, chociaż już z mniejszą wyrazistością i siłą, również i w innych powieściach tego okresu.

Ta zwycięska energia bohaterów pierwszych realistycznych powieści zawiera w sobie jakgdyby jakąś „średnią” między wielkimi sprzecznościami epoki i bezwzględnością nadaje im stosunkowo „dodatni” charakter.

Ale zwężenie widnokręgu w porównaniu z wielkimi powieściopisarzami pierwszego okresu wyraża się już jasno w zagadnieniu dodatniego charakteru bohatera. Tej obniżającej się linii rozwoju nie należy tłumaczyć obniżeniem się talentu pisarzy, lecz rosnącą kapitalizacją społeczeństwa i spowodowanym przez nią poniżeniem człowieka. „Dodatnie cechy” bohatera okupione są teraz ceną jego zgody na pewnego rodzaju ograniczenie i przeciętność. Nie myślimy tutaj o smutnej purytańskiej religijności Robinsona; w portretach Gil Blasa i Toma Jonesa, w największych artystycznych obrazach tej epoki, energia ludzkiej niezależności nosi już na sobie piętno codzienności mieszczańskiej.

Do jakiego stopnia proces ten jest niezależny od osobistego talentu pisarzy, wiadać chociażby z tego, że we Francji, gdzie kapitalizm był mniej rozwinięty, postać Gil Blasa jest jeszcze stosunkowo wolna od tego ograniczenia, czego nie znajdziemy w żadnym z obrazów bohatera pisarzy angielskich, którzy często jako realiści prześcigali Lesage'a. Ponadto, bohaterzy tych wszystkich powieści, bez względu na ich dodatnie wartości mieszczańskie, stawiali się w miarę dalszego rozwoju mieszczaństwa coraz mniej przydatni w charakterze dodatnich bohaterów (por. krytykę Toma Jonesa u Thackeray'a).

Coraz bardziej rosnąca fala kapitalistycznego zmaterializowania, standaryzacja bytu, zniwelowanie osobowości wywołują w ramach realistycznej powieści najbardziej różnorodnie formy subiektywnego protestu. Stąd między innymi rodzi się (jak to genialnie zrozumiał Schiller) zamilowanie do idylli, jako do obrazu takiego całkowitego i naiwnego stosunku człowieka do przyrody, jakiemu nieublaganie i bezlitośnie zaprzecza burżuazyjna cywilizacja. Ale wielkość rozpatrywanej przez nas epoki wyraża się tym, że nawet idylliczne powieści tego czasu przeniknięte są duchem walki i protestu. („Wikary z Wakefield” Goldsmitha).

I właśnie te powieści, w których znalazł swój wyraz subiektywny i uczuciowy protest, pokazują szczególnie jasno, że wielcy pisarze tego okresu łączą z krytyką przeżytków starego społeczeństwa krytykę własnej klasy, budującej nowe społeczeństwo. Widzimy, że im gwałtowniej toczona była walka ze starym ustrojem, im twórcze oprowadanie duchowego życia przedstawianych ludzi silniej było związane z walką prze-

ciwko martwym i zamierającym prawom feudalno-arystokratycznego społeczeństwa, tym głębsze i nowsze stają się artystyczne obrazy (np. Richardson, albo Prevost, Diderot, Sterne). Jest to walka, którą prowadzi burżuazja w imieniu całego społeczeństwa za niezależność i wolność ludzkich uczuć.

Ale w miarę jak dążenie to pogłębia się

i coraz silniej wyraża się w lirycznym, protestie indywidualności ludzkiej przeciwko okowom życia materialnego, zaczyna się rozkład formy powieściowej, liryka, analiza i opis coraz bardziej wypierają charakter, sytuację i akcję, nikią wielkie tradycje realistycznego panowania nad rzeczywistością i cały ten kierunek staje się zapowiedzią romantyzmu. Rousseau i Goethe,

jako autor „Wertera” są najbardziej jasnym wyrazem tych tendencji.

Choć pisarze ci w pewnym stopniu przygotowują romantyczny rozpad formy powieści, to sami w swojej twórczości są jeszcze od tego rozpadu dalecy. Mimo to występujące w ich powieściach takie elementy, jak listy, dzienniki, wyznania, liryczne opisy marzeń itp. już świadczą o procesie rozkładu epickiej formy powieści.

Praktyczna bezsilność człowieka, aby wewnętrznie zapanować nad coraz bardziej przybierającym charakter fetysza światem kapitalistycznego społeczeństwa, prowadzi do prób szukania oparcia dla zagubionej osobowości wewnątrz niej samej, do stworzenia dla niej jej własnego, „niezawiesłego” i niematerialnego wewnętrznego świata. Lawrence Sterne pierwszy wyraził jasno te dążenia. Przekształca on obiektywną fantastykę dawnych powieści na fantastyczność subiektywną, zbiór realnych cech rzeczywistości zamienia w dziwną ornamentykę formy. Rozbija on świadomie jedność epickiej formy, aby z pomocą fantastycznych dekoracji stworzyć jedność subiektywną, jedność kontrastujących ze sobą nastrojów rozrzewnienia i ironii. Kontrasty te stają się teraz zwierciadłem, w którym odbijają się obiektywne sprzeczności. Ideową podstawą tego rozpadu formy jest zrelatywizowanie umieszczenie realnych sprzeczności we „własnej duszy”: wyraża się ono w zrelatywizowanym kontraście między Don Kichotem a Sanszo-Panszą. Każdy z braci Shandy łączy w swojej postaci Don Kichota i Sanszo Panszę, ponieważ każdy jest Don Kichotem swoich własnych ideałów i Sanszo-Panszą w stosunku do ideałów innego. Ten doprowadzony do skrajności subiektywizm i relatywizm Sterne'a wyraża jedną z najważniejszych i coraz bardziej wzmagających się cech mieszczańskiej ideologii — jej reakcję na potęgującą się groźbę bytu.

(c. d. n.)
George Lukacs

ALEKSANDER WAT

* * *

Lapa która ziemię nam marszczy
gdy palce kładzie na pięciu stolikach
to nawet Paryż
nawet ten się zachwiał
i stęka

A kiedy pęciami rżnię w dolara
zwykłego papierowego dolara
to z papieru tryska juha
i sączy się ta juha.
i ścieka
na miasta truchlejące ze wstrętu
na ziemię pomarszczoną ze wstrętu.

Wtedy anioł, który ma trąbkę alarmu lotniczego w ręku
odwraca się z jawną niechęcią i patrzy w inny pejzaż:
na dwa pagórki ze szczytką świerków
na drogę z gołymi wierzbami

na polach ruń
na drodze śnieg
i niebo ołowiane!

Chłopiec pogania konika wioo koniku

I tylko psa szczekanie
i wiatr gwizdże
i wóz terkozce
i wrona kracze

CZESŁAW BIELSKI

STENDHAL PO RAZ PIERWSZY

W ZALEGŁOŚCIACH wydawniczych nastąpiła ostatnio rzeczwi-wista poprawa. Teren stracony w czasie wojny i w pierwszych latach odbudowy ograbiamy, może w tempie niezbyt oszalałym, ale za to dosyć systematycznie. Związana z tym doświadczenia i doświadczenia, jeśli chodzi o klasyki wielkiej powieści XIX-go w. Mówiąc o tych sprawach, nie wypadałoby pominąć doniosłych zasług w tej dziedzinie, jakie ma w naszym bilansie wydawniczym „Książka”. Oceniając jej program wydawniczy, należy stwierdzić z satysfakcją, że spółdzielnia ta nie kieruje się w swej działalności doraźnym merkantylizmem, mając przede wszystkim na oku długofalowe korzyści wychowawcze. Nie wątpię bowiem, że z punktu widzenia finansowej opłacalności „Komedia Ludzka” Balzaka nie wnosi z sobą zbyt obfitego wiana, i jeśli dziś czytelnik może ustawić na półkach swej biblioteki „Stracone Złudzenia” obok „Dwóch poetów” — zawdzięcza to w dużej mierze ofiarności wydawniczej „Książki”. Niestety bowiem, nie wszystkie tytuły dzieł wielkiego małżonka pani Hańskiej brzmią równie kusząco jak „Blaski i nędze życia kurtyzany”!

Ostatnio dorobek wzniołszy powieściowych „Książki” powiększył Stendhal. Obok Dickens'a, obok Balzaka, France'a i Gogola w witrynach księgarskich pojawiło się dawno oczekiwane „Czerwone i Czarne”. Uczestnicy dyskusji o realizmie, protektorzy XIX-wiecznych wzorów dla nowoczesnej powieści — nareszcie będą mieli okazję dokładnego zapoznania się z tą książką, kto wie czy nie najbardziej tajemniczą i najmniej gruntownie ocenianą przez naszą krytykę.

W czytaniu klasyków potrzebną jest szczególną umiejętność. Jeden z krytyków francuskich wyraził się kiedyś, że czas opatrzyć ich dzieła wielkim cudzysłowem. Sądzę, iż przenośnię tę należy rozumieć w jeden tylko sposób: dzieła, stworzonego przez minioną epokę historii, nie wolno od niej odrywać. Wiedza o nim tylko wtedy może być prawdziwa, jeśli opiera się na historycznej wiedzy o rzeczywistości, jaką ono przedstawia. Człowiekowi, któryby nic nie wiedział na temat emancypacji polityczno-gospodarczej francuskiego mieszczaństwa w pierwszej połowie XIX-go wieku, tragedia Lucjana de Rubempré mogłaby się wydać pospolitą. Czytelnik, pozbawiony wszelkich wiadomości o tym, czym był jakobinizm i epopeja napoleońska, nie odczyta i nie odczuje właściwie — burzliwego losu Juliana Sorela. Wielkie dzieła minionych okresów, mimo, iż niewątpliwie przechodzą do wieczności, nie uchodzą do niej z maleńkim dodatkiem; — jest nim historyczny klucz, który otwiera nam po latach ukryte w nich skarby. Żadne zaklęcie nie pomoże, ten Szesam otwiera podwoje tylko wtedy, gdy Ali Baba wie, jak wyglądał świat dawno przed jego urodzeniem.

Ale powróćmy do „Czerwonego i Cznego”. Pomysł fabularny tej powieści powstał, o czym nie dawno przypomniały „Nowiny Literackie” z wiadomości w kronice wypadków, podobnie zresztą jak „Pani Bovary” Flauberta (Francuzi nie na żarty umieli być

realistami). W r. 1827 miasteczko Brangues w okolicy Grenoble stało się widownią krwawego wydarzenia: młody plebejusz, korepetytor w bogatym mieszczańskim domu, zakochany w matce swego wychowanka, wyrzelił do niej z pistoletu w kościele, w czasie mszy. Ścięto go na mocy wyroku w Grenoble, na publicznym placu.

Z prowincjonalno - kryminalnego dramatu wysnuł Stendhal namiętną wizję postaci Juliana Sorela. Młody chłopak z ludu, natchniony świeżą jeszcze legendą zwycięstw Cesarstwa, z jakobińską wiarą w równość ludzi i nieskończoną potęgę ludzkich możliwości wstępuje jako gubernator do pałacznego domu, gdzie robi karierę miłosną. Nie są to jednak czasy, gdy plebejusz z niewieściej alkiwy przechodził na ministerialne stanowiska, do literatury, armii lub przemysłu. Czasy pani Geoffrin i pani Duffand minęły pół wieku temu, a poczekajmy jeszcze pół wieku, zanim „Bel Ami” Maupassanta pojawi się w salonach paryskich. Na razie, w trzecim dziesiątku XIX-go wieku młody człowiek z gminu ma przed sobą jedną tylko drogę do świetności: drogę duchową. Sorel zostaje oddany do seminarium jezuitów; czerwona francuska krew spod Austerlitz pobudza do buntu serce, ściśnięte czarna sutanna. Pobyt w seminarium nie zostaje uwiecznony sukcesem. Przed Sorem otwierają się wprawdzie drzwi salonów, ale przekracza je tylko w charakterze sekretarza hrabiego de la Mole. Przepiękne, pełne ironii, prekursorskie w swym psychologizmie opisy miłości i intryg. (Uwaga, czytelnicy „Popiołów” — ich autor, zanim stworzył postać Rafała Olbromskiego, musiał niewątpliwie ulec urokom stendhalowskiego Sorela!). Wreszcie — katastrofa. Niezapomniane stronomie więziennych dni Juliana, przeniknięte drwiną, patosem i wzruszeniem. Ścięta głowa kochanka, uniesiona przez dwie kobiety. Autor „Kronik włoskich” nie mógł pozabawić swych XIX-wiecznych bohaterów namiętnego gestu z epoki renaensansu.

Inny wybitny krytyk francuski tak pisze o stosunku Stendhala do głównej postaci „Czerwonego i Cznego”:
„To jego cała młodość. Włań ją w tę książkę z jej wszystkimi pasją, niepokojem, ambicją, urazami. Julian, podobnie jak Stendhal, pozbawiony jest tkliwości matki, nienawidzi swego ojca i środowiska, w którym żyje; kocha te same książki co Stendhal; żywi ten sam kult dla duchów wolnych i potężnych, to samo uwielbienie dla Napoleona, ten sam wstręt do obłudy, tę samą nienawiść do zdradźców. Nie jest to już wiadomość z kroniki wypadków, o zbrodni biednego chłopca, trawionego zazdrością i goryczą, to dramat całego życia Stendhala i wielu jego współczesnych”. (Z „Uwag o „Czerwonym i Czarnym” R. Ternois, cytując za K. Brandyssem).

* * *

Opinia o nieskazitelności kompozycyjnej i konstrukcyjnej wielkich powieściowych XIX w. — jest mylna. Nie dotyczy ona ani „Szkoły Sere” Flauberta, ani „Klubu Piekwicka” Dickens'a, ani „Wojny i Pokoju” Tolstoj'a, ani „Komedię Ludzką” Balzaka. Nie dotyczy zwłaszcza „Czerwonego i Cznego”. Powieści „okragle” nie weszły do wiel-

kich konstelacji: częściej można spotkać „perfekcję” w budowie kompozycji u Feuilleta, Ohnet'a lub Bourget'a, niż u Stendhala; u pewnych stabilności mieszczańskiej — niż u twórców obrazów sprzeczności klasowych. „Czerwone i Czarne” przez długi czas uchodziło za bardzo brzydkią książkę. Potępili ją dwaj najwybitniejsi krytycy francuscy sąsiadujących ze sobą dziesięcioleci: Janin i Sainte - Beuve. Bo rzeczywiście, jest to opowieść, na której obsesje i namiętności wycisnęły swe piętno formalne. Jej tok jest burzliwy, niepomamowany, czasem przesadny, pełen nagłych zbieżności lub depresyj, uniesień czy wstrętów. Napisano kiedyś, że kompozycja tej książki jest niepokromiona i sądze, że przyczyn tego należałoby szukać w jej nowatorstwie w stosunku do współczesnych konwencji formalnych. Pierwszy raz chyba potok psychologicznej wiedzy o człowieku wdarł się z taką energią i obfitością w nieufornowane jeszcze lozysko formalne. O strukturze powieści stanowi nieustannie jeden jej element — postać Juliana. „Wszystko jej jest podległe, wszystko jej służy. Ciągłe i uparte wyświetlanie jednego wnętrza, jednej duszy Juliana” — pisał kiedyś jeden z polskich publicystów „jest manią tej powieści”. Manią — dodajmy — umotywowaną. Kanony XVIII-wiecznej literatury nie były dogodnym progim dla wkroczenia w głąb psychiki człowieka. Stendhal wszedł w nią nie pytając — stąd zapewne w tym utworze tyleż bezkształtu i jaskrawości, co najbardziej subtelnych odkryć; stąd mnóstwo przerostów w monologu wewnętrznym, wyłamań z kompozycji, nieprawdopodobnych z punktu widzenia praw rzeczywistości — sytuacji, zbytecznych dialogów postaci najzupełniej incydentalnych itp.

Historyk przemian gatunków literackich, z chwilą gdy zechce się zająć genezą tego, co dziś nazywamy powieścią, sięgnie z konieczności po „Czerwone i czarne”. Jest to powieść wczesna i ma wszelkie cechy wczesnego zjawiska w swoim gatunku. Końcówka tego zjawiska stanowi stary XVII-wieczny romans z okresu „Księżnej de Cleves”. Jeśli nowy gatunek nazywany został kiedyś przez Stendhala „zwierciadłem na gościńcu”, to dziś można dorzucić, że zwierciadło to dość długo jeszcze miała trzymać w rękach pani de Lafayette. Dopiero z czasem bowiem zaczęło odbijać refleksję filozoficzną i realia nowego życia społecznego. Oczywiście, wraz z przemianą historyczną społeczeństwa feudalnego w społeczeństwo kapitalistyczne, nie miały tu rolę odegrał pamiętnik z swą kroniką codziennych zdarzeń, oraz powiastka filozoficzna z swą penetracją intelektualną, już u Diderota i Woltera ujętą w formę artystyczną. Na „Czerwonym i Czarnym” znać jeszcze świeże ślady tych procesów. Jest to książka, której lektura daje najgłębsze doznania, jakich można oczekiwać od dzieła sztuki. Być może, iż ktoś powie, że jest to dzieło uformowane niedoskonale. Zapewne, — ale z chwilą, gdy znamiona tej niedoskonałości rozkładają się przed nami w całej dramatycznej swych historycznych przyczyn — dzieło staje się przez to jeszcze piękniejsze.

Czesław Bielski

TAK ZACZEŁO płynąć życie Jakuba w mieszkaniu Malinów. Z początku wstydział się swej sytuacji i najchętniej przebywał w kuchni, gdzie spał wraz z pudłem Atosem, który mu okazywał życzliwą obojętność. Wieczorem, kiedy zamknięto bramy kamieniem, a miasto pogrążyło się w milczeniu, zachodził tutaj Malina i, usiadłszy na stołku, wiódł z Jakubem długo w noc rozmowy o życiu człowieka. Gdyby im się ktoś przyjrzał, musiałby uznać bezstronnie, że stanowili parę w tych czasach niecodzienną: kasjer niewielki, szczupły, z gładką różową czaszką, podobną do owocu, na którym przylejono dla żartu kosmetyczki srebrnych włosów oraz białe, czarne, i Jakub, czarny, niezgrabny, choć trochę już wychudły, z kulawą głową opartą na pięściach; — między nimi nieruchomy Atos w jednej ze swych wykintnych, czujnych pól.

Za ścianą terkotała maszyna, wystukując ściegi, lecz teraz Jakub słuchał jej odgłosów bez niespokojnych myśli. Żona kasjera była osobą cichą i zbolalą, a siostrzeniczka, Kazia — cienka, chudą dziewczynką, zawsze pogrążoną w pracy i tak wytrwale milczącą, że czasem Jakub pragnął, aby zakaszła; choć nie była to dobra wróżba dla jej chorych płuc. Rzadko tylko spotykał ich wzrok, zazwyczaj siedzieli zgarbieni nad robotą, porozumiewając się szeptem; kiedy zdarzyło mu się w czymś pomóc, patrzyli na niego jakby wyłkniotnie i pochylały głowy jeszcze niżej, dziękując ruchem warg.

Pokój, w którym znajdowała się pracownia, dawniej był jadalnią, o czym świadczą duży stół ustawiony pośrodku, kredens ozdobiony na szczęście gipsową figurą z odłamanym nosem, a także krzesła, obite zielonym sukniem, podobne do tych, jakie stały w jadalni na Łąkowej. W tym samym miejscu, gdzie wisiła fotografia ojca Jakuba, tu wzrok spotykał zdjęcie oprawne w ciemną, wąską ramkę. Patrzył z niego bladymi oczami młody mężczyzna o pospolitej twarzy, w studenckiej czapce. Tuż obok widniało inne, tak samo oprawne, przedstawiające chudego człowieka o lasce, w serdaku narzuconym na ramiona, z czarnym pudłem u nóg. Kiedy Jakub obejrzał obydwie fotografie i odwrócił się od ściany, poczuł utkwiony w sobie wzrok żony kasjera. Przytrzymując ręką skraj sukna, które ześliznęło jej się z kolan, patrzyła na Jakuba parą tych samych bladych oczu, jakgdyby w wysiłkiem szukając w jego twarzy znajomego śladu. Jakub pomyślał wtedy, że matka, która straciła synów, przechowując ich do końca na dzień własnych żreń i nigdy nie tracąc ich zupełnie. Poczem wyszedł z pokoju na palcach, ostrożnie przymknąwszy drzwi.

W sypialni Malinów, prócz dwóch małżeńskich, wysoko zasłanych łóżek, stała szafka z książkami. Kasjer, który cierpiał na bezsenność, lubił mieć je pod ręką. Były to przeważnie książki o treści historycznej, albo przyrodniczej, i rozmaitych tytułach, jak: „Wielcy Wodzowie“ lub też „Od małpy do człowieka“ (— I z powrotem — dodawał zwykle Malina, mówiąc o tej książce). Jakub pożywał je niechętnie, ale żadnej nie zdołał przeczytać do końca; zasypiał po pierwszych kilku kartkach. Natomiast nocne rozmowy z Maliną nie nudziły go nigdy, toteż korzystał z nich znacznie więcej. Kasjer nazywał je „dysputami“, lecz prawdę mówiąc, głos w nich zabierał tylko on, podczas gdy Jakub i pudel Atos ograniczali się do roli słuchaczy. Dysputę rozpoczynało streszczenie świeżo przeczytanej książki, i czy nią były „Zbrodnie rewolucji“, czy też „Miłosne życie roślin“ — Malina niezmiennie wysnuwał z niej wnioski o końcu cywilizacji.

— Posłuchaj, Jakub — mówił, szelejąc białymi mankietami, które zawsze utrzymywał w czystości. — Z punktu widzenia norm społecznych obaj jesteście wielkimi łajdakami. Ja okradłem kasę, ty zabiłeś człowieka. Za takie czyny przewidziane są kary w kodeksach — odsiedzieć nam je bez sprzeciwu. Pomińmy fakt, że ciebie i mnie zmuszono do naszych zbrodni, gdyż społeczeństwo odmówiło nam pomocy, ciebie zdając na twoją samotność, mnie na moją rozpacz; normy społeczne zawsze ustanawiają ludzie o większych dochodach, niż ci, dla których są przeznaczone — uczciwość człowieka zależy od wysokości jego zarobków. Gdyby miał mniej, głodową pensję w banku, mój syn mógłby się leczyć za uczciwie zapracowane pieniądze, a ty, Jakubie, gdyby twoja matka nie była tak biedna, mógłbyś być przed wojną spokojnie studiować za granicą. Ale, powtarzam, odłóżmy te sprawy na stronę. Obydwaj wyszliśmy z więzienia, gdzie, z grubszą bióracą, nie było nam bardzo źle. I cóż się dzieje? Ci sami ludzie, których normy społeczne ciebie i mnie zamknęły w celi, zmusiwszy wprzód do zbrodni — witają nas zaraz po wyjściu wielką awanturą. Ginie w niej twoja matka, mój syn, ty na

KAZIMIERZ BRANDYS

CZEŚĆ
DRUGA

S

A

M

nowo zostajesz ogłoszony zbrodniarzem, a do mnie znów wraca rozpacz. Nie jestem nacjonalistą, Jakubie, i nie obchodzi mnie końcówki w cudzych nazwiskach. Zawsze natomiast, skoro się coś dzieje, zadaje sobie pytanie, jakie zarobki mają ci, którzy to wywołali. Otóż, wierź mi na słowo, ci co wywołali dzisiejszą awanturę, to syte świnie; nie ma dla nich kar w kodeksach z tego prostego powodu, że te kodeksy oni sami układają. Jaki z tego wniosek. Jakubie? Ich własna stara zasada przewiduje wzajemność praw i obowiązków. Ponieważ prócz prawa do rozpaczliwej pobawiano mnie wszelkich innych, dzisiaj odpowiadano: nie mam żadnych obowiązków wobec społeczeństwa, któremu nic nie zawdzięczam z wyjątkiem kilku lat spokoju, które spędziłem jako karę.

Jakub słuchał, zapytrony w gesty jego świeżo wymitych rąk; zdania bardziej charakterystyczne powtarzał bezgłosem ruchem ust, jakgdyby pragnął nauczyć ich się na pamięć. Kasjer był pesymistą i nie ukrywał tego. Kiedy Jakub spytał go pewnego wieczoru, czy nie sądzi, że po wojnie świat może stać się lepszy, Malina wzruszył ramionami.

— Świat? — wątpił rozkładając ręce — świat to są ludzie. Tylko oni go zmieniają, sam nigdy nie staje się inny. A ludzie, Jakubie, którzy dziś mieliby prawo walczyć o lepszy świat, to tacy jak ty i ja. Ale dawny tak zalał nam za skórę, że nie mamy już chęci walczyć o cokolwiek. Bądź pewny, że jeśli ujdiesz z życiem i pierwszą noc przespiasz spokojnie — nazajutrz rano znów zaczną ci zmuszać do zbrodni. Nie wierzę, że Bóg stworzył świat dla człowieka, raczej, mój drogi — przeciw niemu.

Jakub zaważał się; szepnął po namiętnie, że jednak, o ile pamięta, wśród ludzi, co wraz z nim siedzieli w więzieniu, znajdowali się tacy, którym doznana krzywda nie odebrała chęci dalszej walki. Mówiąc to, myślał o Wacku Pankracie; opowiadał więc kasjerowi swoje z nim spotkanie — i przyjaźń; choć tego słowa nie użył, chowając je dla siebie. — Mnie się zdaje, panie Malina — powiedział powoli — że on gdzieś jest niedaleko. Przed wojną walczył podobno w Hiszpanii, więc może teraz, kto wie...

— Ech... — westchnął kasjer sceptycznie — tacy giną pierwsi. I tyle po nich zostaje — przyłożył palec do ust, dmuchnął, a potem umilkł, machnąwszy ręką.

Wtedy Jakub smutno zwiślił głowę, bo serce ścisnęła mu myśl, że może Wacek Pankrat doprawdy nie żyje.

Książka, do której chętnie zaglądał, werując ją od początku i od końca, był spis abonentów warszawskiej sieci telefonicznej, leżący na małym stoliku w jadalni, obok lśniącego aparatu, który odzwalał się rzadko. Na miesiąc przed wybuchem wojny syn Malinów, przywykły do szwajcarskiej cywilizacji, złożył w domu telefon i radjo, twierdząc, iż w wieku dwudziestym człowiek nie może być odcięty od świata. Radio zabrał Niemcy, lecz telefon pozostał. Jakub zauważył, że jakkolwiek nie korzystano z niego prawie wcale, aparat był otoczony milczącą czcią przez żonę Maliny i Kazię, a nawet samego kasjera, który osobiście czyścił go z kurzu flanelową szmatką, lekko, ostrożnie, jak gdyby obmywając chorego człowieka. W książce telefonicznej znajdowały się nazwiska i adresy; Jakub wczytywał się w nie żarliwie, wyobrażając sobie twarze ich właścicieli; niektóre nazwiska sprawiały wrażenie, iż należą do ludzi porządných, inne, że do złych, co oczywiście mogło być omyłką.

Pewnego dnia odwróciwszy kartkę, natrafił wzrokiem na nazwisko Szarlej; nie wiele brakło, by zasiadł ze wzruszeniem. „Szarlej Ksawery“, Krakowskie Przedmieście Nr...“ czytał, chionąc oczami literę za literą. Przypomniał sobie, że dom pod tym numerem stał niedaleko Uniwersytetu; zatem, przymknąwszy oczy, nietrudno było zobaczyć Tola Szarleja, gdy wychodził z bramy i, zamyślony jak zwykle, idzie powoli w stronę Nowego Świata. W kilka dni potem, kiedy po południu pozostał w mie-

*) O przygodach innych postaci, występujących w „Samsonie“, czytelnik dowie się z dalszych części cyklu „Między wojnami“, które wkrótce ukażą się w druku („Antyгона“, „Labyrinth“, „Troja — miasto otwarte“).

szkaniu sam z małą Kazią. Jakub odważył się podnieść słuchawkę i pięciokrotnie nakręcić niklową tarczę telefonu. Wstrzymał oddech, gdy rozległ się sygnał — po chwili w słuchawce zabrzmiało chrząknięcie; ochryply głos zawołał trochę niecierpliwie: „Halo!“ Nie było to głos Tola; Jakub przestraszył się, ponieważ niezajomy, rozłoszczony jego milczeniem, powtórzył kilka razy swoje „hallo!“ coraz głośniejsze i chrapliwiejsze, poczem ucichł. Ale Jakub nadal słyszał oddech, krótki, jak gdyby zduszony, zrozumiał więc, że człowiek po drugiej stronie przewodu nadsłuchuje również niespokojnie jak on; przyszło mu do głowy, że w tym nadsłuchiowaniu czai się strach, podobny do jego strachu. Wówczas ostrożnie odłożył słuchawkę na widelki i kiedy spotkał wzrok Kazi z nad maszyny do szycia, powiedział: „Było zajęte“. Lecz ona spuściła oczy, pewnie wyłkniotna, że przemówił do niej po raz pierwszy.

Gdy nazajutrz w kuchni Jakub wspominał Malinie o Ksawerym Szarleju, okazało się, iż kasjer zna go ze słyszenia. Wyjaśnił, że pobliska restauracja często dostarcza win i wódek na luźne przyjęcia, które ojciec Tola co jakiś czas wyprawia dla Niemców. Mówiąc to, kasjer uśmiechnął się z ironią: — To jeden z tych, którym dzisiejszy świat podniósł zarobki, więc uważają, że nie należy go zmieniać. Ci zwyciężą w tej wojnie.

Wówczas Jakub znów się zmartwił. Pomyślał, co porabia Tolo w dniach, kiedy jego ojciec przyjmuje u siebie Niemców.

Na podobnych rozmowach, wśród zdarzeń bardzo monotonych — upłynęła zima. Przez ten czas Jakub przywiązał się do Maliny równie mocno jak pudel Atos; kasjer traktował ich obydwóch z jednakową dobrocią, tę tylko czyniąc różnicę, że Atosa codziennie wyprowadzał na spacer, rano i wieczorem, co w wypadku Jakuba nie było by rozsądne. Lecz pudel, mimo iż w mieszkaniu na Kruczej również przebywał bez meldunku, był jednak istotą legalną, o której wiedział dozorca. Natomiast o istnieniu Jakuba nie mógł wiedzieć nikt. Szczęściem, Malinowie żyli samotnie, a kiedy przychodziły klientki, zresztą coraz rzadsze, Jakub zamykał się w kuchni; siedział tam cicho, czekając póki nie wejdzie kasjer, który oczami dawał mu znak.

Malina unikała bowiem słów, dotyczących położenia Jakuba na tle ogólnych zdarzeń. Niechętnie także wspominał o złych wiadomościach ze świata, i o tym co działo się w mieście; powiedział raz wyraźnie, że człowiek potrafi przeżyć najgorsze nawet piekło, byle nie wpuścił go do siebie, do środka. Dlatego zapewne chronił Jakuba od niegodnych wieści; tylko po jego oczach, czasem zbolalych i bezsilnych, poznawał Jakub, że stało się coś złego. Wtedy, aby ożywić kasjera, opowiadał mu o P., o gimnazjum Kościuszki i profesorze Bałturyńcu, którego dzwawstwa słynne były w mieście, a także o ulicy Łąkowej i dobroci swej matki, którą Malina szanował, choć nie znał jej osobiście. Kasjer słuchał chętnie i rozpoznał się zazwyczaj, gdy Jakub naśladował gramatyczne omyłki pani Rozenowej. Lecz i tych wspomnień nie starczyło na długo; życie Jakuba było krótkie — wczesnie przebiegło w więzieniu, które Malina znał przecież równie dobrze.

Jakub zrozumiał z czasem, że kasjer hodzi w sobie ambicję, aby pozostać obok ich w obliczu tego, co działo się wokół. Zapewne strata syna, którą głęboko przeżył, sprawiła iż zwątpił o świecie. Gardził nim odtąd, starał się od niego odgrodzić i narzucał własną filozofię obydwóm kobietom, które zgodziły się na to posłusznie. Jeśli więc przyjął Jakuba do swego domu bez wahań, dogadzał w ten sposób swojej pogardzie dla świata. Jakub wiedział o tym i dość szybko odgadł, że spokój w domu Malinów jest rzeczą umowną; nie całkiem należało jej ufać.

Czasem budziło go w nocy zgrzytnięcie bramy; zrywał się wtedy z bijącym sercem; wraz z bramą czyjaś ręka otwierała jego strach. Wstawał z pościeli i na palcach zakradał się do drzwi, aby słuchać w ciemności odgłosów na schodach. Pewnego razu, w podobnej chwili, gdy nad ranem warkot samochodu wdarł się nagle w jego sen, Jakub usiadł na łóżku, obłany potem. Niezbyt jeszcze przytomny, zaczął macać w mroku rękami, szukając koło siebie Gie-

nia Apfla; na Lesznie zawsze go budził, skoro zbliżało się niebezpieczeństwo. Dopiero przy drzwiach otrzeźwiał ze snu, strach uderzył go w piersi potrojoną falą; był z nim sam na sam — tylko on słyszał walenie kolb o bramę, tylko on był przez własną twarz z góry wydany na zgubę, nikt prócz niego, na jawie i we śnie, nie oglądał swej śmierci z tak bliska. Stał w uchylonych drzwiach, z głową czujnie wysuniętą naprzód, i wyłęczając słuch, przyciskał pięści do serca. Minęła długa chwila nim spostrzegł, że naprzeciw niego, w proggu jadalni stoi tak samo nieruchomo inna biała postać. Walenie kolb dawno już umilkło, gdy oni wciąż czekali, patrząc na siebie przez ciemność. Jakub poznał Kazię, wydało mu się nawet, że mimo odległości czuje ciepło jej ciała obudzonego ze snu. Lecz mogło to być również działanie wyobraźni. Cofnął się i zamknął drzwi. Uprzymiślnił sobie, że Kazia, siostrzenica Maliny, nie ma więcej niż piętnaście lat. Ale widocznie i w tym wieku można czuć jak ludzie dorośli, gdyż długo nie odchodziła, a Jakub przez zamknięte drzwi słyszał jej oddech.

Odtąd zdarzało się to często. Ilekroć na ulicy zabrzmiał wystrzał, zawracało auto lub huknęła brama — oboje pojawiali się w drzwiach, i zawsze bez słowa, stojąc naprzeciw siebie, słuchali naprzemiennie odgłosów ze schodów i bicia własnych serc. Czy to jest właściwe? — zastanawiał się Jakub, myśląc o nocnych spotkaniach. Musiał przyznać w duchu, że skłaniał go do nich nie tylko lęk. Co więcej, czasem przyłapywał się na marzeniach, które jemu samemu wydawały się zbrodnicze wobec Maliny, opiekuna Kazi. Lecz jednak nigdy nie przestąpił proggu swych drzwi i za dnia ani słowem nie wspominał o tym, czego pragnął w nocy.

Od pewnego bowiem czasu, gdy w mieszkaniu nie było nikogo, Jakub często rozmawiał z Kazią. Zazwyczaj w niedzielę, kiedy Malina wychodził na dłuższy spacer z Atosem, a jego żona znikała cicho, by zdażyć na nabożeństwo, Jakub puknął do drzwi jadalni i chrząknął nieśmiało na widok Kazi pochylonej nad książką. Podnosiła wtedy głowę; po wyrazie jej oczu nie trudno było odgadnąć, że na niego czekała. Wówczas Jakub pytał: — Czy można osiągnąć koło ciebie? — a ona pozwalała zawsze tym samym szeptem: — Proszę...

Tak zaczynały się rozmowy. Zapewne, więcej w nich było milczenia niż słów, lecz mimo to dzięki nim Jakub przestał się czuć samotny. — Czy bardzo się boisz? — spytał jej raz, gdy rozmawiali o wojnie. Zamiast odpowiedzi spojrziała na niego smutnymi oczami, które nagle wydały się Jakubowi głębokie i wiele mówiące. Zrozumiał, że jej wzrok powiedział: — Boję się bardzo o ciebie, — ale nie potrafił okazać jej wdzięczności; odwrócił tylko twarz, aby ukryć zmieszanie. Zresztą i ona, pewnie ze wstydu, pochylała głowę i osłaniając ręką usta, zaniosła się cichym, suchym kaszlem. Tego dnia nie powiedzieli sobie nic więcej, bo na schodach rozległo się szeptykanie Atosa, który wracał z przechadzki z kasjerem.

Ale kiedyindziej Jakub dowiedział się z ust Kazi ważnych rzeczy. Mówił właśnie o tym, czy Niemcy zwyciężą, gdy odparła z powagą, że nie; jej zdaniem nie mogą zwyciężyć. Jakub zdziwił się i zapytał dlaczego tak sądzi. Wtedy znów spotkał jej oczy, niespodziewanie duże i jasne. — Wszyscy są przeciw nim — szepnęła — nie mogą przecież zwyciężyć, jeśli wszystkich skrzywdzili i wszystkich nienawidzą. Jakubowi wydało się to zbyt proste. Pokręcił głową i odrzekł, że takie argumenty nie są wystarczające. Zwycięża ten, kto jest silniejszy; najlepszy dowód jak łatwo pokonał Żydów, których skrzywdzili najwięcej. Ale wówczas Kazia zdumiała go jeszcze bardziej; miała widocznie na ten temat wyrobione zdanie, gdyż zaprzeczyła stanowczo: — Niemcy nikogo nie zwyciężyli, proszę pana — mówiła cicho, ledwie poruszając maleńkimi wargami — bo cały świat z nimi walczy. Nikogo nie zwyciężyli, bo nikt nie złożył przed nimi broni na zawsze... Przecież pan wie, że nawet w Warszawie strzelają do nich na każdej ulicy... Przerwała nagle i umilkła na widok twarzy Jakuba.

— Wiem — mruknął Jakub, patrząc w posadzkę. Gdyby spojrzął na Kazię, zoba-

S

I

N

(III)

czyłby jej oczy pełne łez. Uczyniła lekliwy ruch, jakby chcąc go pogłaskać po ręce, i szepnęła, że Jakub nie powinien sobie niczego wyrzucać; nie każdy ma możność walczyć z Niemcami. — Przecież ja... — zająknęła się — ja także... — pragnąc zapewne powiedzieć, że i ona przez swoje płuca, nie może brać udziału w walce. — Wiem — powtórzył Jakub. Przyszło mu na myśl, że oboje są w podobnej sytuacji: jej przeszkadzały płuca, jemu twarz, którą Gienio Apfel porównał do zarazy. Teraz on skolei chciał dotknąć jej ręki, ale i jego ogarnął wstyd: ręka Kazi była cieniućka, o drobnych pisklących kosteczkach; nie mogłaby tyle udźwignąć, co mocna dłoń Jakuba.

Od czasu tej rozmowy, myśli, które dotąd powoli układały mu się w głowie, nagle uczyniły w niej raptowny zamęt. Coraz częściej Jakub popadał w rozpacz, że nie potrafi okazać się dzielnym mężczyzną; nie kiedy nocą badał mięśnie swoich ud i ramion, by sprawdzić czy nie wiotczą. A że były twarde jak korzenie, więc zrywał się z łóżka, smagany wstydem za swą duchową bezsilność. — I tak na pewno zginę — marotał do siebie, mierzwiąc palcami włosów — na cóż więc czekam? Zamiast żeby mnie tu znaleźli i zatkali, lepiej wyjść na ulicę i chociaż raz do nich wystrzelić, jak wtedy, na Koplińskiej... Ale wiedział przecież, że aby strzelać, trzeba mieć karabin, żeby zaś zdobyć karabin, trzeba znaleźć kogoś, kto jak niegdyś Wacek Pankrat, dałby mu go do ręki. Trudno by jednak było z wyglądem Jakuba szukać Pankrata na ulicach, gdzie obce oczy jak robactwo pelzały po twarzach. Jakub obejmował rękami głowę ciężką od myśli, czując, że zamyka się wokół niego szczelny krąg, którego on nie przebije swą czarną, kudłatą czaszką.

Doszło wreszcie do tego, iż w czasie jednej z wieczornych rozmów w kuchni zwrócił się do Maliny z prośbą, aby mu ułatwił znajomość z kimś, kto walczy z Niemcami.

— Marnuję siły, panie Malina — mruczał, pokazując mu swoje ręce — nikt nie ma ze mnie pożytku. Przecież mógłbym się przydać, na pewno zna pan jednego z nich.

Kasjer cofnął podbródek i patrząc na Jakuba z nad szkieł, kazał prośbę powtórzyć sobie powoli jeszcze raz.

— Nie chcę być bezużyteczny... — zaczął Jakub głośnie, gdyż ośmielił go spokójny wzrok kasjera. Lecz wtedy Malina mu przerwał i spytał cichym głosem, czy Jakubowi nie pomieszało się w głowie. — Nie — odparł Jakub — niech mnie pan zrozumie, panie Malina: po pierwsze jestem tutaj darmozjadem, po drugie — narażam pana i pańską rodzinę, po trzecie...

— Jakub — odparł Malina dość sucho — nie tłumacz mi spraw, które sam potrafisz zrozumieć. Mogłbym być twoim ojcem, a mówisz do mnie jak do młodszego brata. Ludzie, o których wspominałeś, są może bohaterami — gdyż popełniają czyny równie niepotrzebne jak wszyscy ci, co przesiłi do historii pod tą nazwą — ale pamiętaj, że prawdziwa godność nie polega na zwarciu pierś w pierś, lecz na odwróceniu się plecami.

— Wacek Pankrat... — chrząknął Jakub, ściskając kureczowo pięści.

— Tak samo jak inni, jemu podobni, zapomnieli, że chcąc zachować godność myślącego człowieka, nie wolno stawiać się w pozycji równorzędnej z tymi, którymi się gardzi — odpowiedział Malina. — Jakub — rzekł łagodnie — od początku wojny nie spozjrzałem na mapę, w gazecie czytam tylko drobne wiadomości. Przywróć w sobie spokój. Przystań rozmyślać o sprawach, których bezcelowość potwierdziła nie jedyna filozofia.

— Ale kto nas obroni? — spytał nagle Jakub.

— Fachowcy — odparł rzeczowo kasjer. — Istnieją na świecie ludzie, dla których wojna jest profesją, i ci ją wykonują jak każdą dobrą robotę. Tylko amator może sądzić, że to, co się dzieje na frontach, jest walką o lepszy świat. Po prostu — jest to wielki turniej profesjonalistów, który okaże wyższość jednej techniki nad drugą i do którego my, amatorzy — nie powinniśmy się mieszać.

Jakub milczał. Ręce spociały mu się z podniecenia, ocierał je o spodnie; przelicykując sline patrzał błagalnie na kasjera, jak gdyby chciał powiedzieć: niech pan tego nie mówi, panie Malina, niech mi pan tego

oszczędzi. Ale otwierał tylko usta i przymykał oczy, wiedząc, że nie powinien się klócić z Maliną.

Jakub miał dla kasjera wiele uczuć, których nigdy nie potrafił wyrazić. Najczęściej wzbierały w nim nocami; kiedy było ciemno, nikogo nie musiał się wstydzić. Wdzięczność Jakuba posiadała wielką siłę; nie mógł z nią sobie dać rady, ulegał więc tym chętniej, że potem, gdy już pozwolił jej się ogarnąć zupełnie, zasypiał spokojnie, z sercem jakby obmytym po trudach. We śnie spotykał twarz Maliny, łagodnie uśmiechniętą, i jego dlonie, do których przylatuał usta, szepcząc wyrazy, jakich nie umiał wypowiedzieć za dnia. Nie raz śniło mu się, że kasjer jest w wielkim niebezpieczeństwie i że on, Jakub, poświęca własne życie, aby go ratować. Wtedy z krzykiem rzucał się na kogoś w obronie Maliny — ale nawet we śnie nie zdołał spełnić swej ofiary, gdyż budził się z łomoczącym sercem, w pomiętej pościeli; było ciicho i tylko pudel Atos, śpiący koło pieca, zawarczał czasem przez sen. Jakub długo jeszcze siedział na łóżku, powoli trzeźwiąjąc. Ze smutkiem rozpoznawał kuchnię, garnki, stół, uświadamiając sobie, że tylko w marzeniach mógł złożyć dowód swojej wdzięczności. Albowiem na jawie działa się odwrotnie: to kasjer poświęcał życie dla Jakuba; wprawdzie bez krzyku i walki, lecz kto wie, czy jego ofiara nie była przez to trudniejsza.

W kilka dni po burzliwej rozmowie z Maliną, Jakub przeczytał wiadomość w Kurierze o karze śmierci za ukrywanie Żyda. Wpatrywał się długo w nieruchome litery; ogarnięty wstydem pomyślał, że tym razem byłoby przyjemnie obudzić się nagle w kuchni i odetchnąć z ulgą po niedobrym śnie. Ale przeczytał obwieszczenie po raz drugi i trzeci; brzmiało po prostu, logicznie — nigdy żaden sen nie potrafił ściąć serca takim chłodem jak zła rzeczywistość.

Uplęgną więc zima, a na wiosnę — wiele się zmieniło.

V.

Jakkolwiek roztopiły i deszcze wstrzymały działania na frontach, a w komunikatach wszystkich armii, biorących udział w wojnie, powtarzały się od dłuższego czasu nazwy tych samych miejscowości — było niewątpliwie, że opatrność, jak twierdził jeden, historia lub strategia, jak inni uważali, a wreszcie, według zdania innych, wszystko razem, wspólnymi siłami polożyło kres zwycięstwom Hitlera. W narody uciśnione jarzmem — pisały tajne gazetki — wstąpiła nadzieja. Do mieszkań — dodajmy to od siebie — zabrało wiosenne słońce; ludzie inteligentni, którzy przed tym śmieli się z podniosłych słów, jak na przykład „przedwojnie wolności”, teraz zaczęli je wymawiać ze łzami w oczach. Niekiedy bowiem przychodziła dla człowieka czas tak okrutny, że przestaje się wstydzić własnych wzruszeń — co zresztą nie świadczy o nim źle.

Ale życie narodu i życie człowieka, mimo iż łączą je związki dowiedzione przez historię, czasem splatają się z sobą dosyć nieokładnie. W ciągu ostatniej wojny znano wielu ludzi, którym kłeski własnej ojczyzny zwiększyły dochody — nawet bez zlej woli z ich strony, i drugich, którzy ginąc żegnali świat ostatnią myślą — czasem pełną gorzkości — o wolności, co jednocześnie z ich śmiercią nadchodziła dla innych. — Można było w tych czasach uwierzyć w opatrność — powiedziała pani F. z Warszawy po kłesce Hitlera — lecz w opatrność tak dalekowzroczną, że nie dostrzegała pojedynczego człowieka.

W jej ustach brzmiało to przekonująco, ponieważ straciła męża na dzień przed wyzwoleniem, i gdy inni cieszyli się zwycięstwem — ona włożyła żałobę.

Kiedy więc milion ludzkich serc ogrzało „przedwojnie nadziei”, w tym samym miesiącu, o tej samej porze — pogorszył

się los Jakuba Golda. Nadziei może trochę zostało w jego sercu, ale wszystkiego innego, a zwłaszcza widoku słońca, całkiem go pozbawiono. Od połowy marca zamieszkał bowiem w piwnicy Malinów, gdzie przez małe zakurzone okienko niewiele dochodziło światła.

Jak zwykle w owych latach, zmianę tę wywołał przypadek, który do mieszkania na Kruczej sprowadził pewnego dnia nową klientkę. Miała to być aktorka, osoba lubiąca ubierać się sztywnie, jak zapewniała właścicielka drogerii z sąsiedniej kamienicy, gdzie kasjer, który przyniósł tę wiadomość, cieszył się żywą sympatią. W domu zapanował nastrój nieco odświętny, gdyż w ostatnich czasach żona kasjera miała coraz mniej zamówień, a Jakub częściej niż przed tym zastawał Kazię bezczynnie siedzącą przy maszynie, z książką na kolanach. Również Jakub bardzo się z tego ucieszył, bo cierpiąc nad ubóstwem Malinów, tak surowo wyrzucał sobie swą nieużyteczność, że ogarniał go wstyd przed każdym kęssem, i mimo, iż miał łatwy dostęp do spiżarni, sięgał tam tylko po chleb, odwracając oczy od marmelady z marchwi; sądził bowiem, że tym drobnym wyrzeczeniem spłaca choć w maleńkiej części wielki i straszny dług, jaki zaciągnął u Maliny.

A zatem w dniu, kiedy właścicielka drogerii zapowiedziała wizytę nowej klientki, Jakub od rana zamknął się w kuchni i wraz z Atosem nadłuchiwał dzwonka u drzwi, pragnąc go teraz równie mocno, jak lekkał się go w noc. Żona kasjera i Kazia czekały w pracowni, gdzie w ostatniej chwili, za radą Maliny, obrzucono maszynę do szycia i stół skrawkami starych materiałów, aby, jak mówił kasjer, stworzyć złudzenie produkcji. Dzwonek rozległ się popołudniu, a jednocześnie za ścianą maszynowa rozpoczęła swój terkot, co również było ideą kasjera. Jakub, gaszcząc Atosa liżącemu mu rękę, czekał cierpliwie aż kasjer da mu znak, że klientka wyszła, i łowił uchem stłumiony przez ścianę kobiecy głos, myśląc z szacunkiem, że należy do wielkiej, być może, artystki.

Dopiero po trzech kwadransach usłyszał skrzypnięcie drzwi od pracowni, kroki i nagle przybliżony gwar rozmowy, która wśród licznych pożezań przeniosła się do korytarza. — Dowiedziałem! — powiedział wesoło znajomy głos; Jakub drgnął i wstał z za stołu. W ostatniej sekundzie odgadł czyj to głos, lecz nie miał już czasu nic więcej pomyśleć, gdyż w tej samej chwili szeroko otworzyły się drzwi i ujrzał w nich Lucynkę.

— Drzwi do sieni obok... — dobiegł go szepł Kazi.

— Przepraszam — powiedziała Lucynka, patrząc okrągłymi oczami w twarz Jakuba, który stał ze zwiśzioną głową, oparty rękoma o stół, i nie wiedział czy w podobnej sytuacji wypada się uklonąć.

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył przed sobą Kazię; poblada trochę i patrzyła na niego z niepokojem. — Czy stało się coś złego, proszę pana? — spytała cicho, dotykając jego ręki końcem szczupłych palców. Jakub długo nie odpowiadał. Miał jeszcze przed oczami drobną, pstłą figurkę Lucynki, stojącą w otwartych drzwiach, na twarzy wciąż czuł jej chłodne, zdziwione spojrzenie spod loków koloru lnu, zczesanych na brwi. Po chwili dopiero usłyszał pytanie Kazi i skinął głową, ponieważ zrozumiał, że stało się coś bardzo złego, czego już nigdy nie da się naprawić.

Kasjer, który wkrótce potem wszedł do kuchni, spokojnie wysłuchał niedobrej nowiny i czyszcząc binokle chusteczką, powiedział: — Nie uprzedzajmy wypadków. Ale Jakub zdradzał wielkie podniecenie. Gdy Kazia zamknęła za sobą drzwi, spojrzął smutno na kasjera i szepnął: — Powinno stąd odejść, panie Malina. To nie są dobzy ludzie... Lecz Malina nie chciał o tym słyszeć; powtórnie nakazał spokój, twierdząc, że ludzie jak ludzie, nigdy nie są zbyt dobzy ani źli.

A jednak tym razem okazało się, iż słuszność miał Jakub. Albowiem nazajutrz, znów około południa, rozległ się ostry dzwonek; Jakub, zamknięty na klucz w kuchni, rozpoznał głos Gienio Apfla, który pytał:

— Czy tutaj mieszka Jakub Gold?

Rozmowa Gienio z kasjerem trwała pół godziny i musiała mieć przebieg burzliwy, ponieważ Malina powrócił z niej w stanie dalekim od spokoju, który sam zalecał. — Lotr... — mówił do siebie, chodząc po kuchni z binoklami w rękę — wyrutek... Zdawał się nie dostrzegać Jakuba, który siedział skulony na łóżku, nie spuszczał z niego oczu. — Lotr... — powtórzył Malina, poczem wyprostował się nagle i nalożywszy binokle, wyciągnął rękę z chudym wskazującym palcem, grożąc nim nie wiadomo komu:

— Mają! — krzyknął ochrypłym głosem — mają czego chcieć! Sami wychowali sobie ludzi na własne podobieństwo! To nie on, to my przecież jesteśmy dla nich zbrodniarzami. Lotry...

Jakub — powiedział po chwili spokojnie — wybacz mi, że się uniosłem. Nie zaszło nic tak złego, aby należało opuszczać ręce. Ale na jakiś czas umieszczę się gdzie indziej. Ten młody człowiek, pan Jąbikowski, pokazał mi legitymację z piakiem, który ludziom nie przynosi szczęścia, i zapowiedział dalsze swoje wizyty w towarzystwie swych mocodawców. Na parę dni ukryję cię w piwnicy, a potem wrócisz tutaj.

— Dobrze, panie Malina — zgodził się Jakub, patrząc na niego wzrokiem, jakim zwykle spoglądał Atos, kiedy był chory.

Noc tego dnia zapadała spokojna i ciemna, a mimo iż na Kruczej niewiele było drzew, z otwartych okien sieni niósł się wilgotny oddech gałęzi, kołysanych marcowym niecierpliwym niebem. Dom był już pogrążony we śnie, kiedy Malina sprowadził Jakuba do piwnicy, wskazując drogę elektryczną latarką, której światło przerosło osłaniał palcami. Jakub schodził za nim, w czapce nasuniętej na oczy, z podniesionym koinierzem płaszczu — jak wówczas, kiedy na tych samych schodach znalazł się po raz pierwszy i czekał na obce kroki. Wtedy mogły mu przynieść ratunek, teraz — tylko zgubę.

Ale na schodach panowała cisza, słyshać było jedynie chróbot i pisk myszy oraz kapanie kropel z rynny biegnącej koło okna. Idąc za kasjerem, Jakub pomyślał, że schodzi bardzo głęboko i nagle ogarnął go strach, iż stamtąd, dokąd prowadzi go Malina, nigdy nie będzie powrotu.

Na dole owiał go wilgotny chłód, a odgłos kroków brzmiał nieco głucho — jak zwykle pod ziemią, gdzie powietrze nie ma zbyt wiele. W piwnicy Malinów, przy ścianie leżały kartofle, ponadto kilka zakurzonych sprężetów: stare lambrekin, żelazna siatka od łóżka, fotel bez nogi, zjedzony przez mole, złote ramy po lustrze, które stało obok, szerniałe i pęknięte. Na pierwszy plan jednak wybijał się dziurawy szeląg, ustawiony pod oknem; sterczały z niego sprężetyny oraz trawa morska; przed wojną spiał na nim zmarły syn Malinów, teraz miał za posłanie służyć Jakubowi.

To wszystko, w blasku świecy, którą zapalił kasjer, powoli wychodziło z mroku. Jakub milczał i czuł na sobie wzrok Maliny; od dłuższej bowiem chwili kasjer patrzył mu w oczy, trzymając świecę ponad głową, tak, aby mogła oświetlić twarz Jakuba.

— Nie będzie tu wesoło, Jakub — szepnął wreszcie z łagodnym uśmiechem — ale przecież my wiemy coś o tym. Po prostu, jeszcze raz zmieniono ci cel; ufaj jednak starym Malinie — żadna cela na świecie nie czyni z człowieka zbrodniarza... Gdyby ci było zimno, masz tu prócz koldry pled — dodał po chwili. — Okno zasłonięte jest deską, ale czasem możesz ją sobie odsunąć...

Jakub skinął głową. Gardło miał wprawdzie ściśnięte, więc nie mógł podziękować Malinie; spojrzął tylko na niego i zamiast odpowiedzi spróbował się uśmiechnąć. Kasjer położył mu dłoń na ramieniu — chciał pewnie go pocieszyć, lecz jemu także trudno było znaleźć odpowiednie słowa.

— No, Jakub — powiedział cicho; poczem opuścił rękę i odszedł powoli w stronę drzwi.

W moment później Jakuba ogarnęła ciemność. Długo stał bez ruchu, słuchając oddalających się kroków kasjera. Kiedy umilkły, westchnął głęboko, a potem wyciągnął przed siebie ręce, by poomacku odnaleźć szeląg stojący pod oknem. Ułożył się na nim ostrożnie i wkrótce zasnął, owinięty koldrą.

(dalszy ciąg nastąpi)

Kazimierz Brandys

W następnym (4) numerze „Kuźnicy”

ADAMA WAŻYKA

„W KRAJU PIĘCIU REPUBLIK”

JACEK BOCHEŃSKI

O G R Ó D

(dokończenie)

NIM ZDOŁAŁEM przystosować się psychicznie do nowych czynności, wywieziono mnie do Krakowa i posadzono przy biurku u inżyniera Rzeźniczka.

Spełniałem tam funkcje rozliczne. Pisywałem listy urzędowe, sporządzałem tabelę płacy dla robotników, służyłem za tłumacza w rozmowach z Niemcami, bo inżynier Rzeźniczek, chociaż wykształcony, nie znał języka niemieckiego i nie potrafił się nauczyć. Jako tłumacz przeżyłem wielkie żalenie i zdziwienie. Rozumiałem wszystko i wszystko udawało mi się po niemiecku wyrazić. Ponieważ jednak mowę tę znałem z epigramatów Anioła Ślązaka lub tragedii Grillparzera, więc była pewnie niestosowna do treści, które musiałem komunikować swoim rozmówcom. Pewnie zachronizowała się w tych czasach podobnie jak owe zużyte i nieaktualne elementy poezji. Pewnego razu powiedział mi jakiś Niemiec, patrząc z zamysłem:

— Sie sprächen ein fabelhaftes Deutsch.

Uczyłem się więc charczącego języka Niemców, ich sposobu wymawiania oraz różnych polskich zwrotów, których dawniej nie przyszyłoby mi do głowy używać. Teraz widziałem, że jest to jedyny sposób skutecznego zakonspirowania się w środowisku. Trzeba było poznać tysiące umiejętności łatwych i jak gdyby mimowolnych dla mojego otoczenia, ale nie znanych mi, a decydujących o tym, jak będę przez środowisko oceniany; czy będzie można o mnie powiedzieć „swój chłop” albo „miły bydlak z tego Karola” czy „ponura idiota” lub „zarozumiały chamus”. Pragnąłem gorąco, by określano mnie raczej jako „milogiego bydlaka”. Już przed wojną dostrzegałem cały szereg różnic pomiędzy mną a ludźmi, wśród których wówczas żyłem. Wtedy jednak, chociaż wiedziałem, na czym różniły się one polegają, nie starałem się ich turzować, a prawdopodobnie, choćbym się nawet starał, zadanie nie byłoby łatwe. Dzisiaj, stając się z innym światem i z innymi jego właścicielami, nie odczuwałem wobec nikogo tak zdecydowanego respektu jak dawniej. Wierzyłem bowiem, że wieczne są prawa rządzące społeczeństwami, lecz same społeczeństwa śmiertelne i przemijające. To też łatwiej było mi dziś wmalować się w koloryt otoczenia. Z mniejszą obawą przedsiębrałem wszystkie konieczne w tym względzie czynności.

Musiałem stać się osobnikiem z pewną inicjatywą. Gdy moi koledzy z biura inżyniera Rzeźniczka grywali wieczorami w oko, nie mogłem każdego razu czekać, aż oni mnie do tej gry zaproszą. Powstałyby bowiem pozory, że tylko ze strachu nie odmawiam udziału w zabawie, a na prawdę lekceważę ten rodzaj rozrywki. Musiałem sam proponować i organizować. Najpierw jednak wszelkie wystąpienia, które podejmowałem pierwszy raz w życiu, reżyserowałem w odosobnieniu. Nie mogłem odzywać się: „Mam propozycję. Chciałbym dziś wieczór zagrać z panami w oko”. Musiałem mówić: „Staszku, pociągnijmy?” i figlarnie „filować” palcami.

Podobnie było z wyrażeniem opinii. Pracywście eliminowałem z wygłaszanych przez siebie twierdzeń wszystkie sady, które mogłyby zdradzić we mnie przedwojennego podrostka-intelektualistę i które nadawałyby się jedynie do tamtych czasów. Nie mogłem już odzywać się z zachwytem o polskich mężach stanu sprzed wojny albo o zaletach ówczesnego ładu społecznego, bo patrzonobn na mnie od razu jak na człowieka, który ma inne interesy niż obujący z nim ludzie. Musiałem sam oskarżać kierowników polskiej przeszłości i potępiać nasze dawne sprawy ojczyście. Trzeba było jednak czynić to w specjalny sposób. Nie argumentowałem zawiłe i ze spokojem w głosie, gdyż taki stłwi uchodziłby za podejrzany, ale przemiewać się grubiańsko i mściwie, bo to oznaczało swojskość. W ocznie ludzi pochodzących z poszczególnych klas społecznych należało zachować wielką ostrożność. Na nic nie zdałaby się dawna wyrafinowana sympatia do osób o nieforemnych twarzach. Szybko wydałaby się cała literackość tej sympatii. rzeka było swobodnie mówić po imieniu szoferom, pomocnikom murarskim, albo posługaczom i bez zmaszczenia czoła przyjmować od nich nieprawidłowe wolące: „panie Karol” lub samo „Karol”. Trzeba było pobłażliwie traktować zdegradowanych profesorów gimnazjalnych, ale bez zbytnej uciechy. Należało całym zachowaniem wykazywać, że nie ma między Polakami żadnych różnic. Wszyscy ludzie ulepieni są przecież z jednej gliny, o czym przekonywali się podczas wojny funkcjonariusze urzędów pracy lub nadzorcy kamieniołomów, albo konfidentci policji. Pewnie ci ludzie opowiadali o swych obserwacjach wszystkim znajomym, krewnym i prostytutkom. A oni znów donosili tę wiadomość swoim znajomym i krewnym. Tak rozpowszechniło się potęgę przekonanie, że ludzie dzielą się tylko na Niemców, Polaków i Żydów, a nie jest ważne, kto się czym zajmuje i jakie szkoły ukończył.

Potrzeba hipokryzji i aktywności — co każdy dobrze rozumie — okazała się nieodzowna z chwili, gdy wreszcie udało mi się zdobyć kobietę. Dotychczas bardzo ciężko było mi cierpieć brak tej osoby, złożonej jedynie z szeregu moich wyobrażeń. Równoległe do innych przemian zachodzących we mnie, zatraćcia się też dawna mwał o jedynę, godnej mego stanowiska niewieście. W Krakowie postanowiłem już nieodwołalnie zatroszczyć się o byle jaką towarzyszkę tego tymczasowego okresu, bo jeśli grywałem uległe w oko,

to czemuż nie miałbym zadowolić się jakąś dostępną kochanką. Stłusznie zresztą przewidywałem, że wprawienie mego organizmu w normalne funkcje seksualne, zamiast dotychczasowych namiastek fizjologicznych, wzmoże moją energię, ustabilizuje umysł i zmniejszy nieśmiałość, a przecież tak bardzo potrzebowałem wtedy owych zmian.

W Krakowie nawiązałem znajomość z szeregiem kobiet, ale nie miałem jeszcze odwagi nigdzie się angażować, ponieważ przy każdej z moich znajomych czuwał jakiś młody mężczyzna przybierający pozę niewątpliwego właściciela. Proponowałem tym niewiastom przechadzki po plantach albo kawę i ciastka, kupowałem im na imieniny wodę kwiatoową, przede wszystkim zaś baczylem, aby zawsze zachować wygląd człowieka, któremu to nie nowina, który już i tak ma, co trzeba. Dowiedziałem się wcześniej z ksiązek a obecnie od kolegów, że taka droga jest najpewniejsza. Na własny użytek zaś notowałem swoje prawdziwe osiągnięcia: zdradzone na moją korzyść czyjeś pocałunki, chwile tak zwanych „zapomnień”, jakieś obnażenia, jakieś kompromitujące przyzwolita kobietę zeznania i inne podobne sukcesy.

Spędzałem z okazji Wielkiej Nocy dwutygodniowy urlop u ciotki w Kielcach. Ilość złotych ciotki nie mogła sprostać liczbom zaproszonych. Kazano mi spać w pokoju obok stołowego wraz z piętnastoletnim kuzynkiem ciotki Alicji na wąskim tapczanie. W jadalni zaś spała jego siostra, do której najprzystojniej byłoby zwracać się „panno Broniu”. Już przy kolacji, po pierwszej wodce zaczęła jej mówić „ty” i zadawać niewybredne pytania. Zanim piętnastoletni kuzynek zasnął, czytałem gazetę a następnie stwierdziwszy, że drzwi do stołowego są mi zamknięte, wszedłem tam po cichu. Usiadłem na łóżku połowym Bronki i pocałowałem ją machinalnie.

Miałem wielkie zadanie do spełnienia. Zdawałem sobie sprawę, że od pomyślnego wykonania zależy bardzo dużo. Chciałem błędnie i skutecznie zrealizować cały zespół gestów, odeszła i uczynków, z którego składała się prawdziwa operacja erotyczna. Jeśli do spotykanych dawniej kobiet czułem pewien pociąg, to Bronka była mi najzupełniej obojętna. Okoliczność ta wydawała się dogodna, bo mogłem przeprowadzić swą akcję, posługując się jedynie zimnym wyrachowaniem i inteligencją.

Nie zdziwiłem się wcale, że Bronka poaktowała mnie dość nieprzyjaźnie. Wszak znałem sposób reagowania kobiet na moje przedsięwzięcia. Nigdy nie był inny i przeważnie kończył się rozmową o wątpliwym stanie mego zdrowia. Postanowiłem więc zachować się jak człowiek, o którym mówią: „ma silną wolę”. Mimo opryskliwych odpowiedzi Bronki usiłowałem stylizować bardzo zaczepne i łobuzerskie zdania. Jednocześnie zauważyłem, że w miarę upływania czasu różnie moje zdenierowanie. Nie mogłem rozpiętać tasiemki przy koszuli Bronki. Dwukrotnie zaskrzybiała podłoga w korytarzu. Pewnie ciotka zachodziła do łazienki. Umilkliśmy wtedy oboje z Bronką i nasłuchiwali niespokojnie. Nagle poczułem, że weselek przy koszuli na piersiach Bronki rozluźnił się jakby dobrowolnie. Chyba sama rozwiązała go eichaczem. „O, teraz już stanowczo muszę działać” — przemknęło mi przez mwał i niespodziewanie zrozumiałem, że się bardzo boję.

— Psst — syknąłem, odwracając głowę w kierunku korytarza.

A później powiedziałem:

— Ciotko gna — i roześmiałem się.

W sąsiednim pokoju piętnastoletni kuzynek chrapał. Przejechało ulicą auto, rzucając na ścianę jadalni wielkie, ruchome światła.

— No, to ja już chyba pójde spać — rzekłem i szybko opuściłem jadalnię.

Następnego dnia zamierzając kontynuować rozpoczętą akcję. W tym celu przed wieczorem sprytnie schowałem klucz od drzwi dzielących jadalnię od pokoju, w którym polecono mi spać. Znowu atakowałem Bronkę przy kolacji, czytałem gazetę do chwili, aż zasnęła kuzynka, a gdy zapanowała przyzwolita cisza, zjawiłem się przy łóżku Bronki. Tym razem szybko zdjąłem buty i w ubraniu położyłem się przy niej, pełen determinacji. Chyba goździnę obdarzałem ją najrozmaitszymi pieścizotami i zajęcie to wydało mi się całkiem przyjemne. Bronka oddawała mi już pocałunki i miela w dłoniach rekawy mojej marynarki. Wyrząła układem ciała i szeregiem gestów pewne propozycje, lecz ja robiłem minę, jakbym nie miał zamiaru korzystać z ofert, albo ich nie rozumiał. Byłem jak człowiek wysłany gdzieś dla spełnienia ważnej a niebezpiecznej misji, kiedy pragnie, aby uboczne przeszkody nie pozwoliły mu dotrzeć na miejsce i usprawiedliwiły powrót. Równocześnie jednak czulem, że w wypadku cofnięcia się będę musiał misję tę znów powtórzyć, pewnie z jeszcze większą niechęcią i z silniejszą emocją. Mwał o tym, traćilem coraz wyraźniej pomyślowość w ruchach, a bezradność woli stawała się bezradnością uczynku.

Bronka ukrwała twarz w mojej kamizelce. I wtem jej szeot „weź mnie”, stłumiony i świadczący o największym ułatwieniu sytuacji, zdeorganizował do reszty moje czynności, wprowadzając ręce, nogi i myśl w stan ostatecznej destrukcji. Przypomniałem sobie swoją rolę etodomora, gdy zapalałem świeczkę przy zwłokach ojca. Przypomniałem sobie wszystkie bolesne sprawy Krynicy, szkołę, gdzie chwalił mnie profesorowie a bili kole-dzy, i dom, gdzie dwaj bracia, udatniej przy-

dowani z ciała i świadomości, odbierali mi złotówkę przeznaczoną na kino lub cukierki.

— Karolu, weź mię, ja cię proszę — powtarzała Bronka.

Pomyślałem — i to był taki zużyty element dawnej poezji — że w pokoju chyba jest jasno, choć lampa się nie świeci, a tylko dziewczyna ślepa, tarza się w białym świetle. Lecz pomyślałem również, że jeżeli się stanie to, czego ona żąda, nastąpi potem długa kolej bardzo trudnych sytuacji. Mogłyby to być sprawy, w których weźmie udział ciotka Alicja oraz inżynier Rzeźniczek. Powstanie z tego jakiś wielki fakt, omawiany przez ludzi, obliczany na pieniądze, powodujący ludzką rozpacz, śmiech, nienawiść. Fakt ten znacznie się liczył jako rzeczywisty zaraz po spełnieniu wiadomych czynności. Najpierw przez nieokreśloną ilość dni będzie dla mnie zna-czył: zaszła w ciążę, czy nie zaszła? Potem zobowiąże do licznych świadczeń, do wielu prac i kreacji, których zapewne każdy inny człowiek umiałby uniknąć, ale mnie będzie można do nich zmusić spojrzaniem, żartem albo zwykłym milczeniem. Dokuczała mi ciemność, więc zapaliłem lampę i zapytałem z odpowiednio wyreżyszerowanym wyglądem twarzy:

— Broniu, dziecko, a co będzie jutro?

— Jutro nie będę na ciebie patrzeć. Tylko mnie meczysz.

Dopiero trzeciej nocy Bronka została moja kochanką, i to taka, że nawet Feliks z Tadeuszem, gdyby wiedzieli, musieli by uznać ją za moją najprawdziwszą kochankę. Bo na prawdę, nawet ci zabijający i wydrwigrosze, nawet ci sukniący kpiarze, ci moi bracia, nie mogli by niczego zakwestionować w sprawie Bronki i musieli by się zgodzić, że stała się ona moją niewątpliwą kochanką.

* * *

Co się zdarzyło w następnych latach, zanim nadszedł okres ostatni, do dzisiaj trwający, trudno jest opowiadać. Może umiałbym zdać zeń sprawę, gdybym był istotnie dobrym pisarzem. Sądzę, że wybitny twórca potrafi z każdej, najmniej ciekawej rzeczy zrobić przez umiejętną interpretację temat interesujący i rozległy. O tych moich latach, które sam muszę w braku umiejętności zbyć nierzec, dałoby się napisać długą powieść. Ale są dwa warunki. Byłaby pisana w czasie teraźniejszym, w tak zwanym praesens historycznym. Czas teraźniejszy stwarza w najfantastyczniejszej bajce złudzenie rzeczywistości i współczesności. Nie się w takim opowiadaniu nie dokonywa, wszystko tylko jest i trwa. Więc potem czas zużyty na czytanie o czymkolwiek jest tak samo długi, jak czas działania się tego czegoś. Niekiedy nawet dłuższy, jeśli uwzględnimy momenty, gdy czytelnik będzie ziewał albo szukał pcheł. Drugi warunek to opisanie w utworze literackim wszystkiego, co zachodzi, łącznie z najdrobniejszymi szczegółami. Na przykład bohater powieści wychodzi na spacer wzdłuż Wisły przy patrzeć się dymom nad Warszawą. Wybitny prozaik komunikuje wówczas co do każdego stopnięcia bohatera, o każdym ptaszku, co po ulicy dziobkiem kole, o każdej trawce zdeptaanej i o wszystkim, co sobie bohater w międzyczasie pomyśli. Lecz tak czynią świetni narratorzy, ja tego nie potrafię, bo — mówiąc szczerze — do dzisiaj nie jestem dobrym pisarzem, chociaż niektórzy ludzie wymieniają już moje nazwisko w ten sposób: Aleksander Dumas, Karol Fisiak, Jack London i t.d. (Co do Fisiaka muszę wyjaśnić, że naprawdę nazywam się inaczej, a „Fisiak” to tylko literacki pseudonim).

Obecnie jestem innym człowiekiem niż dawniej. Po nocy z Bronką, po tej — rozumie się — gdy rzecz poszła właściwym porządkiem, obudziła się we mnie podejrliwość. Złakłem się, że podobnie jak przeceniałem kobiety, przeceniałem może wiele innych urządzeń świeckich. Wyglądają potężnie i niedostępnie, a potem same się będą prosić jak Bronka. Czy nie byłoby więc lepiej zaczynać rozmowę z wielu ludźmi sprawującymi poważne wrażenie, nie słowem „proszę” ale na przykład słowem „ej”. Z pewnością dużo zależy od tego, w jakich okolicznościach spotykamy wyższego od nas człowieka, do którego mamy interes: czy zastajemy go oficjalnie przy telefonie czy w łóżku jak Bronkę. Inaczej kłania się taki osobnik z za biurka i znacznie mniej ruchu musi wtedy wykonać aniżeli porywając się z łóżka i zapinając kalessony. Wiedza o tym pomogła mi niezawodnie w zdobywaniu kariery po wojnie. Mam bowiem chytre zwyczaje. Redaktorów, którym przedstawiam swe powieści, ministrów i kierowników wydziału finansowego nie odwiedzam w urzędowych gabinetach, gdzie mogliby wykupić się zdawkową uprzejmością, lecz w domu, kiedy obcinają sobie paznokcie i nie im wtedy nie pomoże — muszą mówić do rzeczy.

Gdybym tę metodę stosował przed wojną, mógłbym zapewne wtedy osiągnąć wiele z tego, czego pragnąłem. Powiem jednak w tajemnicy, że doświadczenia, które zawiadczam Bronce i wysłużonemu stażowi u inżyniera Rzeźniczka, nie przesądziły całkowicie mego dobrobytu na okres powojenny. Mogłoby się komuś zdawać, że okres ostatni wypełnił życiową treścią formy moich wyobrażeń o szczęściu osobistym. Wszakże ludzie widujący mnie przy codziennych zajęciach powinni podziwiać i cenić człowieka o moim znaczeniu i funkcjach. Przysługiwałyoby mi siebie istoty niższe i utrzymywać je w takiej samej odległości od własnej osoby, w jakiej utrzymywano ongi mnie. Kiedy dzisiaj przy-

jeżdżam do Krynicy, wolno mi spodziewać się, że wywłaszczeni ziemianie, traktujący prawo sądenia, że potrafiłem uzależnić od mnie przed wojną w ten sam sposób, co Feliks i Tadeusz, czują teraz idącą ode mnie woń rzeczy świętych. Ale nie myślę, że ubogiemu kuzynowi z prowincji zawsze wystarczy do szczęścia wygrana w loterii lub inny fakt wzbogacenia się na złość wujaszkom.

Przed wojną cenilem piwone w biuokratycznych ogrodach. Podziwiałem porządek, który panuje w malarstwie i społeczeństwie. Każdego człowieka legitymowano obrazami ze ścian jego mieszkania. Istniały rozmaite sposoby wycierania nóg w przedpokojach, a sposoby te wyznaczały poszczególnym jednostkom miejsce w masie ludzkiej. Były mądre, logiczne, prawidłowe i cen życiowości, ludzkiej powagi i kabaretu, utrzymania zwierzętek salonowych i zapachu perfum. Trudno było stworzeniu tak upośledzonemu jak ja wyuczyć się tych prawideł i pomyślnie je stosować. Gdyby się jednak opanowała tę subtelna dyscyplinę, gdyby zapłaciło się przeprosową cenę jej posiadania, wówczas można by było żywić wielkie zaufanie do owego ładu i wielką wiarę, że są to konstrukcje dobrze obmyślane, sensowne, trwałe. Zdaje mi się, że poznałem był mechanizm społecznej dyscypliny. Chciałem zostać dobrym pisarzem. Chodziłbym umiejętnie w biuokratycznym ogrodzie wśród kwiatów, wśród rekordzistów skoku o tyczce, wśród samochodów i fokterów, bo to było łatwe, a trudne jedynie zdobyć prawa wstępu do ogrodu.

Myślałem wtedy, że do każdego ogrodu tak samo się wstępuje. Pewnie nawet do ogrodów Semiramidy były podobne wejścia. Innym tylko ogrodnikom opłaca się bilet. Gdy jednak raz podjąłem tajemnicę bramy ogrodowej, gdy raz powiedziałem: „wiem, proszę pana, którą drogą”, nie chciałem przeżywać żadnych niespodzianek. Kiedy mogłem mówić: „aniolkowie, ja mam czym płacić”, nie chciałem słyszeć: „szanowny obywatelu, te pieniądze są nieważne, straciły wartość, wymieniono je w bankach, o których pan nie ma pojęcia”.

— Ale zaraz, chwileczkę, przecież ja już chyba jestem wpuszczony i niby chodzę sobie wśród was z różą w klapie, bo — zdaje się — wy tak robicie. Patrzyć, moja żona puszcza ze słomki bańki mydlane. Możemy wszyscy teraz się śmiać. O, plynie taka bańka, cała ziemia się w niej odbija i macie kolorową miniaturę ludzkich spraw. A druga szara, ciężka, biegnie od razu do ziemi i pęka. Powinna zrobić trochę huk. Za lekko spała. Ale te bańki mają swoje miejsca i ważne znaczenia w kodeksie biuokratycznego ogrodu. Przecież tego nikomu z nas nie trzeba udawadniać, że się rozumie. Każdy poeta powiada, że tak, że prawda. Więc skoro wiadła bańki i skoro moja żona całujęcie w rękę, i skoro czytamy wspólnie Baudelaire'a, to chyba ja jestem w tym ogrodzie.

Mówiliem tak z Wiktorem któregoś wieczoru wiosennego w Krakowie. Częstował winem i herbatnikami. Na szafie leżała pepesza i pas wojskowy. Wiktor miał wasy rude, jakby nie z naszego kraju, szczerzył twarz, a na głowie śmieszna kepke blond włosów. Był bardzo brzydki i młodszy ode mnie, a już został redaktorem jakiegoś pisma. Opowiedział mi, że nie ma nigdzie żadnego ogrodu, albo wszystko, cały świat, jest ogrodem, lecz w tym ogrodzie przebywa każdy człowiek. Nikogo się nie wpuszcza, nikogo nie wypuszcza, w ogóle nie może być o takich śmiesznych rzeczach mowy.

Rozejrzałem się znów po mieszkaniu i pomyślałem, że Wiktor jest chyba jakimś obłąkanym koczowniciem, chociaż pozory wskazują, że przynależy do zespólu ludzi silnych, którzy ujarzмили Niemców i teraz rzadzą. W tym pokoju zgromadził się dziwne przedmioty, nie mające ze sobą nic wspólne-go. Wielki luksusowy radiodbiornik, aluminiowy kubeczek na wodę, łożko metalowe z siennikiem i przykrótkim kocem szarej barwy, stos rozkrzyczanej prasy politycznej, nuszka z konserwą, pepesza i szafa. Więcej nie chyba tu nie było. Podłoga brudna.

— Ewo — odezwałem się do żony — powiedz Wiktorowi, że jeśli wojna się skończyła, to pewnie już można puszczać bańki mydlane.

Wiktor roześmiał się. Powiedział, że wojna nigdy się nie zaczyna i nigdy nie kończy, ale zawsze trwa. Niby ten ogród, który jednocześnie mógłby być, jeśli sobie życzymy, i w rzeczywistości nie być. A ja pomyślałem, że z moim udziałem w konspiracji, to właściwie była bujda. Gdyby mi nie zależało na dobrych stosunkach z kolegami w biurze inżyniera Rzeźniczka, nie dałbym się w ogóle namówić na udział w AK. Może podzialała także moja chęć wywyczenia woli i przewyciężenia strachu. Po Bronce różne takie rzeczy robiłem. Zaprawiałem się na okres powojenny, żeby energiczniej upomnieć się w nowym układzie stosunków — o swoje. Przecież wystarczyło zastanowić się chwileczkę, a łatwo można było pojąć, że Niemców napewno kto inny zwycięży, nie ja.

Mogę szczerze powiedzieć, że w Kielcach u ciotki Alicji rozumiałem już doskonale, jak się rzecz przedstawia z tą walką o niepodległość państwa polskiego. Inaczej wyglądała ta sprawa brana teoretycznie, inaczej, gdy szło o zaangażowanie własnej osoby. Kto przez ostatnie dwadzieścia lat umiał słuchać muzyki jazzowej, dobrze o tym wie. Muzyka jazzowa, rozbrzmiewająca w pensjonatach przedwojennej Krynicy miała swoje określo-

ne znaczenie i była perfumowana jak kobieta na rauce. Ta sama muzyka w moim radiopaparacie nie miała żadnego sensu. Może powinienem był się do niej perfumować? Może jej gwarantować, że kiedyś zostanie jeszcze wybitnym pisarzem?

Gdy przyszła wojna, głos jazzu przenosił się z domów, gdzie dawniej pobrzmiwał, do innych domów. Wiedziałem, że tam mieszkają Niemcy. Czy miałem teraz narażać się? Miałem iść walczyć o to, by muzyka wróciła do dawnych polskich głośników? Ja chciałem walczyć za wszelką cenę. Ale o jazz dla siebie. Gdy po latach Wiktor słuchał fokstrota „Hej-ho“, było dla mnie ważne tylko to, czy ja mogę z tych dźwięków mieć pożytek czy nie.

Tego nie można nikomu mówić, jeśli się ma dobrze w głowie, ale to jest prawda.

Czasem bywało mi dobrze w większym zespole ludzi. Gdy uczono mnie obchodzić się z bronią w konspiracyjnej szkole oficerskiej, czułem strach znacznie mniejszy, niż samotnie przenosząc w kieszeni prasę podziemną przez wąskie ulice Krakowa. Strach mój w przemierzonym gronie jakby rozkładał się na wszystkie zgromadzone osoby, a mnie pozostawiała tylko zminka czaszki. Gdy byłem sam, lek otaczał mnie ze wszystkich stron i całą potęgą dygotu koncentrował się w przełyku. Pytałem czasem siebie, kto czerpie korzyści z faktu, że mój mózg dzwoni panicznie.

Dla uznania tych, którzy gotowi byli za rok lub dwa administrować biurokratycznym ogrodem, zastępowałem się, jak żądano. Rantunku nie miałem. Mogłem chyba zastosować się do rad ciotki Alicji. Nie przejawiałem jednak żadnych zdolności handlowych. „Karol nie jest samodzielnym” — mawiał inżynier Rzeźniczek. „I nigdy nie będzie” — dodawał po chwili. „Ale niech go życie uczy” — konkludował wreszcie i ograniczył stopniowo przywileje finansowe, jakimi obdarzono mnie początkowo. Trzeba przyznać inżynierowi Rzeźniczkowi, że otwierał on przede mną wiele możliwości zarobkowania. Powiem nawet, że łatwego zarobkowania. Nigdy wprowadziłem sobie obojętne nie wydawały się te możliwości uznałbym moje położenie za szczęśliwe. „Co nie wydgasz nic przy zamówieniach?” — dziwił się kolegujący za mną funkcjonariusze kancelarii inżyniera, gdy w braku własnej inwencji pytałem, w jaki sposób można zarobić.

Zdawałem sobie sprawę, że wszystkie transakcje, do których bywałem zmuszany ze względów materialnych, są nielegalne. Przeprowadzałem je zbyt szybko i z nadmierną gorączką, by mnie przy tym nie oszukano. Do gardła napływał taki sam strach jak przy pracach konspiracyjnych. Byłe szybciej oddać co należało i wziąć pieniądze, byle szybciej skończyć denerwujący proceder — takie uczucie towarzyszyło mi zawsze w podobnych okolicznościach. Będąc jeszcze dzieckiem, dostałem kiedyś na urodziny metalową skarabonkę. Wewnątrz były już dwa złote. Zbiierałem później miedzianki i dziesięciogroszówki. „Zarabiałem” je najrozmaitszymi usługami, za które domownicy płacili mi drobną gotówką. Wyznaczałem sobie terminowe plany finansowe i odczuwałem wielką satysfakcję, gdy na określony dzień udało mi się ułożyć projektowane kwoty. Kiedy w Krakowie wzrastał mój kapitał obrotowy, mierzył mnie ten rodzaj zajęcia. Uczynki, na których ono polegało, były postępkami bardzo dalekimi od wszystkiego, co jako tako leżało w moich umiejętnościach. Tancerze umieją wykonywać tylko te tańce, które składają się z poszczególnych figur znanych im i dobrze opanowanych. Nowego tańca zawierającego nowe gesty muszą uczyć się jak rzeczy obojętne.

Żyłem z tego. Byłem oficjalistą u inżyniera Rzeźniczki i „wydigałem na lewo” przy zamówieniach. Na wiosnę roku 44-go ożeniłem się z Ewą. W tym czasie oczekiwaliśmy rychłych zmian. Mówiłem wielu ludziom, że wyzwolenie przyjdzie od bolszewików. Przygotowywałem otoczenie i siebie na nową okupację, ale twierdziłem, że ja obojętnie będę z bolszewikami żył w zgodzie. Miałem kiepskie pojęcie o ustroju Związku Radzieckiego i zasadach komunizmu, szłałem jednak, że się tam dobrze powodzi pisarzom. Kończyłem wtedy swoją pierwszą powieść i miałem nadzieję wydać ją przy poparciu bolszewików.

Gdy blisko rok później Kraków został wyzwolony, patrzyłem na ten fakt niaby na sprawdzanie się przeprowadzonego bezbłędnie rachunku. Nigdy jeszcze moim zdaniem nie zbliżyłem się tak bardzo jak wtedy do upragnionego sukcesu literackiego. Już w pierwszych tygodniach w Krakowie poznałem Wiktorę. Zaprzyjaźniłem się z nią szybko. Sądziłem, że znajdę u niej pomoc.

Dewiza Wiktorę stało się hasło nieoczekiwane dla mnie. „Nie ma ludzi”. Wydawało mi się z początku, że Wiktorę pragnie w ten sposób pomniejszyć wartość mego talentu, który mi wówczas ogólnie przyznawano. Później zauważyłem jednak, że twierdzenie Wiktorę nie było obłudne. On istotnie sądził tak, jak mówił. Wyglądał na człowieka, który musi za wszelką cenę przeprowadzić swoją sprawę. W tej jego ofiarności było miejsce na pokorę i miłość, jakby mówił: „Tę rzecz trzeba zrobić, chociaż to tak trudno — pomożcie mi, bo sam nie mogę”. Ale w pobliżu było też miejsce na gniew, jakby groził: „Idźcie do jasnej cholery — sam zrobię”.

Przekroczyłem próg, do którego tak uparcie dążyłem od lat i który wydawał się bardzo niedostępny. Jednak w momencie przekraczania znikła cała słodczy awansu. Nadeszły za to wątpliwości. Wstęp do gabinetu zaawansowanych okazał się niesłychanie szybki i zbyt łatwy. Zapytywałem się milcząco,

czy to przejście było rzeczywiście. Dzięki Wiktorę otrzymałem kolejno kilka stanowisk, których sama nazwa byłaby przed wojną w zestawieniu z moją osobą czymś niepojętym. Bałem się, czy nie zaszło jakieś nowe przewartościowanie, czy dawne układy rzeczy wyższych nie są w nowych warunkach układami rzeczy niższych.

Rozpoczął się okres wielkiego chaosu. Gdy idzie się po głębokim śniegu, nieraz stopa zapada w grząskość, chociaż droga wygląda, jakby była pewna i bezpieczna. Tak ja stąpałem po nowych miesiącach życia, gdy spod nóg uciekały stałe grunty, a otwierały się wyrwy, nieinteligentnie umieszczone w tych miejscach. Lecz wierzyłem nadal, jak dzisiaj jeszcze wierzę, dowodom płynącym ze sportrzegania rzeczy zasadniczych, wierzyłem prawom generalnym. Było to dość jasne. Kiedyś słuchałem Feliksa i Tadeusza, a potem ciotki Alicji i inżyniera Rzeźniczki. Zrozumiałem, że gdybym nie musiał ich słuchać, nie chciałbym się też wcale dzielić z nimi przywilejem władzy, ale wolałbym odbierać pieniądze na kino braciom, albo pobierać zyski inżyniera Rzeźniczki, jemu zaś wypłacać tysiąc złotych pensji. Ciekawym, czy Wiktorę rzeczywiście postąpiłby inaczej. Bo być w ogrodzie — to przyjemna rzecz. Niemcy rozpalali obrzymią wojnę, aby stać się ogrodnikami świata. Tymczasem Wiktorę twierdził, że nie ma żadnego ogrodu. Mógłby sobie przestać istnieć ten przedwojenny, widzieliśmy już takie zaburzenia, ale czyżby jego miejsca nie zajął żaden nowy? Ja widziałem w tych czasach ludzką władzę i ludzką podległość, ale czemu fakt uczestniczenia w zespole władczym zamęczał mi szept Wiktorę:

— Nie ma żadnej takiej władzy, o jakiej myślisz. Władza jest w reku mas ludowych. Szukałem kraju obieganego. Chciałem znaleźć to, co przewidywał mój prawdziwy rachunek z czasów okupacji. Zdarzały się fakty, które nie powinny być mu przeczyć.

Latem i jesienią roku 45-go przekonałem się, że nowe władze aresztowały szereg osób uznanych za jednostki wrogie rządowi. Okazało się, iż aresztowano pewne osoby z otoczenia inżyniera Rzeźniczki. Zatrzymano również moich dwu przełożonych z AK. Wszystko wskazywało na uporządkowany bieg wydarzeń. Uwięzieni byli ludźmi ze świecznika poprzedniego okresu. Wśród dawnych kole-

gów z przedsiębiorstwa inżyniera Rzeźniczki zauważyłem teraz narastanie trwożliwego szepetu, wypychanie kieszeni u spodni bronią i mściwe oczekiwanie rzeczy przyszłych. Pytałem ich, przeciw komu zbroją się. Lecz oni nawet nie odpowiadali na pytania, jak gdyby sądząc, że sprawa jest zupełnie jasna. Nie nazywali swych wrogów po imieniu, ale określali ich zbiorowo, używając zaimek. Chciałem wiedzieć, czy ja jestem celem nienawiści dawnych przyjaciół, chociaż byłoby to bardzo dziwne.

Wróciwszy pewnego wieczoru do domu, zastałem pod drzwiami siedzącą na schodach ciotkę Alicję. Nie oczekiwałem tych odwiedzin. Ciotka wyglądała inaczej niż dawniej. Odnosiłem wrażenie, że róż na jej policzkach i ustach oraz karakulowe futro, w które była ubrana, nie pokrywają się już z zespołem czynności wykonywanych przez ciotkę. Pewnie znakomici jeńcy w dawnych wiekach, idąc w pochodzie triumfalnym swoich pogromców, nieśli ryśniętą z podobną godnością. Nie mógł on im już dopomóc, ale umieli wytrwać w nim uroczystości.

— Ja do ciebie z prośbą — powiedziała ciotka Alicja, gdy przekreślałem klucz w zamku.

Ton ciotki bardzo mi pochlebił. Uczułem jednak, że gdyby wolał swą wypowiedzi w formie rozkazu, nie potrafiłbym się jej ani na moment sprzeciwić. Gdy jedliśmy kolację, starałem się okazać jak największe ożywienie. Ciotka opowiadała, że inżynier Rzeźniczek miał w ostatnich czasach przykrości. Przesłuchiwałem go w Urzędzie Bezpieczeństwa i zarzucało współpracę z Niemcami.

— Te sprawy są chyba wyjaśnione — podjąłem.

— Wypuścili go, ale ma wrogów. Chcemy wyjechać z Kielc.

— Może ciotka pozwoli jeszcze wędliny — zaproponowała Ewa.

— Męczą mnie teraz podróże. I męczy Kraków. Takie inne miasto — odpowiedziała ciotka, zapalając przysłane papierosa.

— Karolu, pamiętasz Stefana? — dodała po chwili.

Stefana, Stefana... A tak — pamiętam! — Przypomniałem sobie, że to ów kuzynek, z którym miałem spać u ciotki zamiast z Bronką. — No, to on ma już chyba z dziewiętnaście lat!

Trąba Archaniola i sandacz

felieton gospodarczy

MYSLE, że nie cytując nawet Urke Nachalnika i nie powołując się na opinie pana Zagłoby i Jana Chryzostoma Paska można w każdym okresie poświęcić pióro o pasku. Skłania do tego nie tylko zły humor, wynikły z obżarstwa i pijaństwa lecz — dość często niestety — rzeczywistość.

Oczywiście — nie należy zatracać poczucia proporcji. Okresowe straty dla gospodarstwa narodowego, mogące wynikać z fałszywie wyznaczonych cen na artykuły takie jak cement, żelazo profilowe czy chemikalia techniczne iść mogą w krocie milionów i miliardów. Są one jednak dla prostego człowieka niedostrzegalne, gdyż robotnik czy urzędnik nie jest bezpośrednim konsumentem tych towarów. Dla pracownika nauki czy robotnika fabrycznego cena żelaza, wyznaczona przez odpowiednią władzę przemysłowo-handlową, aczkolwiek nie jest może obojętna ale znajduje się poza nawiasem jego bezpośrednich zainteresowań — chociaż jej wpływ na realną wartość jego zarobków może być olbrzymi.

Powoli zbliżamy się do okresu całkowitej likwidacji systemu kilku cen na artykuły przez myślni państwowe. Stale i poważnie rosnąca masa towarowa z bieżącej produkcji coraz częściej umożliwia pełne zaspokojenie rynku. Konieczność dzielenia odbiorców na grupy uprzywilejowane i nieuprzywilejowane, konieczność utrzymywania kilku cen na ten sam artykuł zanika. Wraz z tem zanika i wysycha źródło nadużyć i bajonickich zysków niebieskich ptaków. Nie wiele w tem jednak byłoby przesady, gdyby powiedział, że fakt, iż na biurku każdego wyższego urzędnika reesorów gospodarczych nie leżała w latach 1945 — 1946 odbitka „Gospodarki Wyłącznej” Kazimierza Wyki poważnie nadwyreży budżet domowy każdego człowieka pracy w Polsce.

Te czasy mamy już jednak poza sobą, haracz ściągnięty z nas ogień przez zwolenników materializmu niedialektycznego powoli i mozolnie odbierają w naszym imieniu i na naszą rzecz Komisje Specjalne i Urzędy Skarbowe. Dziś godzi się mówić już tylko o zagadnieniach w skali... sandacza.

Sandacz dobra ryba, smaczna, mało w niej ości i bardzo — doniedawna — demokratyczna. Ten nasz polski sandacz, jak i inne ryby, których dzięki Ziemiom Odzyskanych mamy obecnie dużo więcej niż przed wojną, kosztował tania (180 do 200 złotych za kilogram) i kalkulował się w gospodarstwie domowym lepiej niż wołowina. Aż dziw brał, że liczonego taniej niż karpia (240 zł kilogram) — chyba dlatego, że uchodził słusnie za specjalną do specjalów w przedwojennej Polsce proletariackie geby nie miały okazji nawiąknąć. Ten też wzgląd czysto handlowy — przyzwyczajenie konsumenta do śledzia, wołowiny i w najlepszym razie do karpia — decydował chyba o jego cenie.

Jadło się więc często sandacza, bogostawiając za każdym razem Ziemię Odzyskaną i Centralą Rybną, a czasem — przez niezdro-

wy lecz przemożny pociąg do luksusu — kupując i droższego karpia.

Aż nagle, tuż przed świętami, podniesiono cenę ryb. Sandacz z 200 złotych skoczył do 310 a karp, szczupak itd. odpowiednio drożej. Z dnia na dzień podwyższono — niewątpliwie za zgodą CUP'u i odnośnej komisji cennikowej — cenę ryby przeciętnie o 50 proc. W gorące zakupy przedświąteczny podniesienie ceny jednego artykułu najpierwszej potrzeby nie mogło nie odbić się na cenach innych artykułów spożywczych, no i na cenach... spinek do mankietów, szalików, krawatów, torebek damskich czy wiecznych piór. Są to bowiem artykuły masowo zakupywane w okresie przedświątecznym na prezenty dla bliznich, a kupcy, mając w dodatku zachęty, nie zwykli przeoczyć koniunktury.

Artykuły spożywcze jak i galanteria typu świątecznych podarków są zarówno produkowane jak i sprzedawane w przeważnej mierze przez przedsiębiorców prywatnych. Centrala Rybna podnosząc o 50 proc. cenę swego towaru w okresie gorączki zakupów, być może przysporzyła Skarbowi kilka czy kilkanaście milionów złotych zysku. Ale zachęta spekulacyjna, stworzona przez tę podwyżkę, przyniosła prywatnej inicjatywie zysk wielokrotnie większy.

Nie należałoby też zapominać, że celem naszej gospodarki narodowej nie jest rentowność przedsiębiorstw państwowych, spółdzielczych czy państwowo-spółdzielczych. Rentowność poszczególnych przedsiębiorstw jest tylko jednym z pośrednich sposobów podwyższenia stopy życiowej klasy pracującej. Środkami czasami nie lepszym, niż... deficytowość. Jeśli fabryki mydła, produkcja spirytusu konsumpcyjnego (w gwarze ekonomistów eufemizm ten oznacza po prostu wódek) czy produkcja książek będą kiedyś równie deficytowe jak jest obecnie przemysł mieszkaniowy czy produkcja gazet — stopa życiowa polskich mas pracujących niewątpliwie się podniesie, Komisje cennikowe i przedsiębiorstwa, gospodarujące artykułami pierwszej potrzeby powinny o tem pamiętać.

Zza oceanu, z Wall Street coraz częściej dochodzą nas dźwięki Trąby Archaniola. Ich tonacja jest nieco inna niż w roku 1929-tym ale ten sam niepokój poprzez nie przebiega. Wstuchiwałem się w te dalekie odgłosy stojąc cierpliwie w ogonku, żeby kupić świątecznego sandacza. Niestety hałas rozmów moich sąsiadów z ogonka, ich wyrzekania na ceny zagłuszał skutecznie odgłos dalekiej muzyki. I stąd moja osobista pretensja do Centrali Rybnej. I stąd życzenia noworoczne dla kierowników państwowych i spółdzielczych przedsiębiorstw handlowych, które składam na tym miejscu, żeby radosną twórczość w dziedzinie cen nie zastaniali nam widoku imponujących cyfr wykonania planu produkcyjnego naszego przemysłu i transportu i nie zagłuszał dźwięków Trąby Archaniola, które choć nikielsej i odległe ale nas natchnąć mogą otuchą.

Kajetan Kotowicz

Ciotka potwierdziła. Tak — istotnie miał lat dziewiętnaście i zgłosił się jako ochotnik do wojska. Przydzielono go do kompanii, która wyjechała w teren likwidować bandy dywersyjne. Wyprawiano się kilkakrotnie i wszystko było dobrze. Stefan wyróżnił się nawet w akcjach, został przedstawiony do odznaczenia. Ciotka wie zresztą, że miał kontakty z podziemiem. Pewnego razu kompania wyjechała i wdała się w ciężką utarczkę z „leśnymi”. Kilku żołnierzy dostało się podobno do niewoli. Po tygodniu wrócili i zameldowali się w jednostce. A Stefan nie wrócił. Po dwu tygodniach inny oddział rozbił bandę i wtedy Stefana ujęto. Przeszedł na stronę zwycięzców, ale nie chciano mu wierzyć. Odstawiono go do Krakowa i w tutejszym więzieniu oczekuje procesu.

— Ty powinieneś przez swoje znajomości wydobyć Stefana — prosiła ciotka Alicja.

Chciałem odmówić pomocy. Wiedziałem, że jeśli obaj z Wiktorę zaryjemy za Stefana, to w tej dość niejasnej sprawie świadectwo nasze może okazać się rozstrzygającym argumentem. Ale jednocześnie pragnęłam dodać się w tym zdarzeniu smaku własnego zwycięstwa. Miałem nadzieję na spełnienie się w praktyce rzeczy przewidzianych jedynie w mojej teorii. Byłem blisko faktów, na które czekałem od lat. Pomyślałem: ach, narzeczcie mamy ustawienie dwu frontów. Tam jest Stefan, a tutaj ja i Wiktor.

Ciotka Alicja znowu coś powiedziała. Nie dosłyszałem, ale automatycznie wpatrzyłem się w jej twarz.

— Tak, naturalnie zrobię, co tylko będę mógł.

Następnego dnia poszedłem do Wiktorę. Przedstawiłem mu całą sprawę, oświadczyłem, że Stefana dobrze znam i wydaje mi się rzeczą niemożliwą, aby dobrowolnie zdradził. Mógł conajwyżej ratować życie, kiedy oddział rozbito. Poddał się i czekał na odsiecz.

Wiktorę odniósł się do rzeczy sceptycznie. Mówił, że teraz nadchodzi okres, kiedy na odcinku bezpieczeństwa kraju nie może już być kompromisów.

— Dlaczego ten facet nie wrócił jak inni?

— To trzeba wyświecić. Myślę, że nie mógł wrócić. Czy to tak łatwo zwiać z niewoli?

— Będę się informował — odparł. Ale niczego ci nie obiecyję. Powiedz o tym swojej ciotce. Ty nie powinienes za niego ręczyć, skoro jest twym krewnym. Takie rzeczy muszą być poza nami.

W tym miejscu Wiktorę przerwał i jakby się chwilę zawahał.

— Czy ty wiesz, jak jest z tą walką z bandami?

Nie zrozumiałem pytania. Po prawdzie, nie wiedziałem, jak właściwie może być z walką przeciw bandom.

— Wdziałeś pewnie pogrzeby poległych — mówił Wiktorę — kiedy ulicami miasta ciągnie taki pogrzeb, orkiestra gra, przechodnie odkrywają głowy i księża modlą się. Czy wiesz, dlaczego tak jest? Dlatego, że są jeszcze tyśiące, ale nie więcej, tylko szczerpie tyśiące ludzi, którzy walczą, chorują, głodują, giną po to, by orkiestra mogła grać, a księża modlić się na pogrzebach ich kolegów. Te rzeczy trzeba sumować. Twoja ciotka i front walki z bandami ukraińskimi w Lubelszczyźnie. A tamto drugie rozumiesz. Familia. Myślisz, że nazwa obraźliwa albo upraszająca? No to powiem inaczej: jeden mały człowiek i wielka historia. Boli, prawda?

Chciałem zmienić temat rozmowy. Nie umiałem odpowiadać Wiktorę. Czekał kilka chwil. Wreszcie rzekł:

— Dopiero tu w Polsce dowiedziałem się, że nikogo z rodziny nie mam. Ludźmiłem się przez cały czas. Tam — w Rosji. Ale teraz wiem na pewno. Zginęli wszyscy jednego dnia, rozstrzelani przez Niemców Ojciec, matka, siostra.

Po chwili dodał:

— A co do tego twego kuzyna, to powiem ci jeszcze, żebyś się uspokoił. Zmienił szefa w „Informacji”. Jest jakiś nowy na miejscu Tokarskiego. Nie wiem kto.

— A dlaczego zmienił? — zapytałem.

— Bo się nie nadawał, idiota. Jak ten będzie żył, też pójdzie. Aż do skutku.

— Wiesz, Wiktorę, przeprowadzam się. Dostałem mieszkanie z ogrodem. Na wiosnę Ewa będzie tam sadzić kwiaty, które lubi. I musimy mieć dużo piwoni.

Stefana w braku dowodów świadomej winy zwolniono po miesiącu.

* * *

Jesteśmy znowu z Ewą u Wiktorę. Już kiedyś piiliśmy to wino i jedli podobne herbatniki. Przy winie najlepiej zastęga czas. Tylko Wiktorę tak wygląda, jakby miał zaraz wstać i pójść wykonać ważną pracę. Albo jakby mówił:

— Władza jest w reku mas ludowych.

Aby dorównać Wiktorę, patrzę na zegarek. Sprawdzam, czy pełny obrót malej wskazówki na sekundniku zgadza się z czasem, który zużywa wielka wskazówka, by przebiec odcinek minutowy. Słychać, jak na podwórzu furmani zsypani węgeli do piwnicy. Łopaty dzwonią o kamień i furmani zaraz będą się przezywać:

— Psia twoja mać.

Wiktorę:

— Rozmawiasz z zegarkiem, Karolu. Chcesz dogadać się z czasem przeszłym, teraźniejszym, przyszłym.

Ja:

— Oczywiście, rozmawiam z zegarkiem. Chcę dogadać się z czasem przeszłym, teraźniejszym, przyszłym.

Ewa:

— Strasznie dużo tu much. Wiktorę, i okna masz nie umyte. Ale lubię kolor twojej marynarki. Taki jest, jakby się nico nie zmieniło.

Wiktorę:

— Dlaczego, jakby się nie zmieniło?

Jacek Bocheński

ADOLF SOWIŃSKI

POEZJA LUCJANA SZENWALDA

ZGINAŁ na wojnie poeta, więc wydano po nim spory tom wierszy zebranych, zwłoki ekshumowano z doraźnego grobu i pogrzebano uroczysto na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie, a po ostatnich przemówieniach przestano wypowiadać jego imię. Jeszcze przez pewien czas powtarzały się klepsydry na ulicach Warszawy, zanim i one ostatecznie znikły pod afiszami świeżych widowisk. Współczesność spełniła swoją oficjalną powinność niby smutny jubileusz, po którym nie ma już więcej powodu mówić o poległym poecie. Oddano mu przecież honory wojskowe, więc apel skończony. Rynek literacki napełnił się nowymi zjawiskami, wśród których poległy traci miejsce, bo nie potrafi już reagować na współczesność. Należy do zamykającej się epoki, bo każdy okres pokoju po wielkim wstrząsie historycznym albo rzeczywistości zaczyna nową epokę, albo przynajmniej zachowuje się tak, jak gdyby ją zaczynał. Zmarły musi długo czekać, zanim się jego twórczość „jak figa ucurkuje, jak tytuł uleży”. Tymczasem grozi mu coś jeszcze gorszego niż niepamięć, bo encyklopedyczna i pochwalna zdawkowość, będąca nieodłącznym następstwem pogrzebów i jubileuszów.

W tych warunkach pisanie o „Utworach poetyckich” Lucjana Szenwalda*) staje się już zagadnieniem historyczno-literackim i jak każde zagadnienie historyczne wymaga dystansu, aby ferowane sądy mogły być prawdziwe, na razie zaś nie pozwala wyzbyć się pewnej dozy stronniczości, jeśli zdecydujemy się wyjść poza ramy nekrologu. Dziś jest to przecież dla nas poezja uderzająca piękną oraz w zasadniczym swoim okresie i tonie doskonale uspołeczniona, poezja, która świetnie odegrała społeczną i historyczno-polityczną rolę roboczą, ale zarazem poezja, która niechętnie przyjąłaby za wzór, bo rozszczepiłaby się nam na zbyt wiele wzorów, które wrażliwość poety pragnęła zjednoczyć, z których wszelako niejedną posiada cechy piękności co prawda bezcennej, ale nieodwołalnie muzealnej.

Z rozdziałem, który wydawcy zatytułowali „Utwory młodzieńcze”, już z pierwszym wierszem tego cyklu, noszącym tytuł „Warszawa”, stajemy pod znakiem Skamandra, w samym środku czasów, gdy panowało przekonanie, że sama młodzież i jej sprawy instynktowne stanowią dostatecznie ważną treść poezji. To jest właśnie ów słynny i osławiony witalizm skamandrycki. Ale u Szenwalda sięgamy głębiej i z innymi wierszami, jak „Infekcja” lub „Garnek”, natrafiamy na niepogrzebaną jeszcze od czasów Młodej Polski warstwę niesamowitości Rimbauda, jak gdyby upiór miał zewnętrzne walory do zostania odświętną postacią w poezji, a niesamowitość mogła być czymś więcej niż prymitywem psychologicznym. Dalej — z rozdziałem „Okres poszukiwań” — linia podnosi się ku górze, chociaż pierwszy wiersz tego cyklu, noszący tytuł „Portret młodzieńca”, już klarowny i nie upozowany, jeszcze mógłby się znaleźć w którejś z antologii Miriamowskich. Kwadryga i postulat sprawczości poezji poza środowiskiem zawodowych odbiorców kultury przynosi, można to śmiało powiedzieć, Szenwaldowi wyzwolenie od podstępów ze strony niedobitych upiórów dekadencji i możliwość uświadomienia sobie kategorii moralnych w poezji.

Z tymi kategoriami moralnymi w poezji jest zawsze bieda i czyna wokół nich więcej nieporozumień niż wokół księdza, który zrzucił sutannę, a pozostał mimo to zupełnie porządny człowiekiem. Objawem moralności w poezji nie jest bowiem głoszenie in extenso wielkich ideałów, chociaż niech je sobie poeta głosi, jeśli to zrobi dobrze i jeśli spełni poza tym inne warunki, moralność w poezji natomiast polega chyba na tym, żeby nie tworzyć stylu z wyobrażeń, których ujemne sklasyfikowanie moralne nie budziłoby żadnych wątpliwości, gdyby zostały wyrażone środkami niepoetyckimi i gdyby kokon formy poetyckiej nie zacierał właściwych im konturów. Z tego punktu widzenia potraktowani chociażby tacy poeci jak Rimbaud i Jesienin nie ukazał nam się w specjalnie dodatnim świetle. Poezja jest pewnym systemem przekonywania, tym donioślejszym, że stosowanym publicznie, to też nie jest rzeczą społecznie obojętną, do jakich wyobrażeń nas przekonuje. Z tym właśnie łączy się doniosłość wyboru wzorów poetyckich, z przyjemnością więc obserwujemy zanik rimbauizmu i wczesnoskamandryckiego witalizmu u Szenwalda a pojawienie się form klasycyzujących, którym poeta pozostaje wierny już właściwie do końca twórczości i życia.

Ale z „Okresu poszukiwań” jedynie niezapomniana „Kuchnia mojej matki”, opublikowana przed kilkunastu laty w „Wiadomościach Literackich” i tu po raz pierwszy przedrukowana (Szenwald bowiem odznaczał się całkowitą obojętnością dla swych poprzednich utworów, odkąd stanął na stanowisku poety czysto społecznego), nie wykazuje akcentów pseudoklasycyznych, pobrzmiewających w wielu innych wierszach. Kto wie,

czy nie ona jedna będzie stanowiła tytuł i palmę poety, gdy zdezaktualizują się wiersze syberyjskie i frontowe, które w tej chwili są nam zbyt bliskie, ażeby emocjonalnie nie przesłaniały osiągnięć mniej bezpośrednio nawiązujących do historii.

Trzeci z rozdziałów, zawierający poemat „Scena przy strumieniu” (r. 1936), przynosi niestety głębokie rozczarowanie, które pamiętamy wszyscy z czasów przedwojennych. Stając jako poeta społeczny zdecydowanie po lewej stronie barykady, Szenwald pragnąłby zerwać z liryzmem jako typem poezji egocentrycznej, a więc z postacią literatury już tematycznie bezwzględnie dla walczącego ludu. Daje wobec tego wyraz tęsknocie za wielką formą epicką, w której doszłyby do głosu konflikty społeczne współczesności. Z tego posunięcia w gruncie rzeczy taktycznego Szenwald, który jest przede wszystkim poetą, usiłuje jednak stworzyć koncepcję literacką. „Poemat Scena przy strumieniu” — pisze we własnym do niego komentarzu — jest — o ile wiem — najnowszą, choć nieodosobnioną próbą ożywienia współczesnej poezji polskiej, której za temat wystarczą sami autorzy, elementami powieściowej przedmiotowości. Jest on zarazem próbą wprowadzenia ruchu, działania, akcji, konfliktu do tego ideologicznego odłamku poezji, który pragnie wyrażać tęsknoty walczącego ludu, a dusić się już zaczyna w wąskich granicach nieruchomej ody i dytambu”. „Wymagam od pisarza — dodaje następnie — aby był w stopniu większym niż inni istotą podwójną: niech z jednej strony będzie pełnokrwistym, indywidualnym, stronnictwem człowiekiem, walczącym na określonym odcinku barykady, z drugiej strony — psychiczną wielokrotną możliwością, zaczątków, za-

datków, aluzji. Gdyby był tylko sobą — nie byłby pisarzem”. „Istnieje — powiada wreszcie, kończąc teoretyczną część swych autokomentatorskich rozważań — dostatecznie mocny pomost liryczny między pisarzem, a jego postaciami, aby epika mogła być poezją — nawet dziś i dziś na nowo”.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że powyższe rozważania są ze strony Szenwalda tylko jednorazową próbą obrony własnego poematu, a nie forsowaniem poglądu, który jest nie do przyjęcia ze stanowiska jakiegokolwiek teorii poznania, gdyż taka w dostatecznych rozmiarach istniała. Istnieje ona jednak o tyle, że praktyka poetycka wskazuje na nieuniknioną odmienną techniczną i kompozycyjną liryki i epiki, co jest równoznaczne z odmiennością celu. Liryka bowiem działa przy pomocy środków emocjonalnych i wizualnych, epika zaś nie tylko, że bez wydarzeń jest nie do pomysłenia, ale musi zarazem posługiwać się wydarzeniami specjalnie ciekawymi, jeżeli nie chce popaść w śmiertelną nudę i zaprzeczenie własnym założeniom. Partie liryczne mogą być w poemacie epickim co najwyżej interesującymi dygresjami, bez których obecności poemat nie utraciłby nic ze swej wymowy, w przeciwnym bowiem razie cała kompozycja podlega zagmatwaniu i czytelnik zapytuje, co to wszystko powiedziano w ten sposób, skoro z tego samego materiału można było zbudować kilka zwartych i bezpośrednio przemawiających utworów lirycznych. W epice natomiast wystarczy stworzyć interesujący typ ludzki oraz dać mu odpowiednią scenografię i perypetie, ażeby autor mógł się dostatecznie wypowiedzieć i nie potrzebował pomagać sobie liryzmem.

Ale poemat „Scena przy strumieniu” jest nie tylko dlatego błędny, że mechanicznie miesza gatunki literackie. Poemat ten jest ponadto objawem mechanicznie wykorzystanej erudycji poetyckiej, z czego zresztą autor zdaje sobie sprawę, pisząc w komentarzu, że gdyby istniał Uniwersytet Poezji, „Scena przy strumieniu” miałaby tam walor pracy proseminaryjnej. Mickiewicz, Słowacki, Shelley oraz inkantacje z poezji starożytnej walczą tu o lepsze, nie stanowiąc jednak tak zwanych wpływów i nawiązań, ale wyraźne naśladowictwa. Zważywszy, że poemat ma swój watek fabularny i środowisko oraz, że mówi o rozczarowaniach proletariackiego chłopca w wieku szkolnym, te wszystkie parentele stylowe zdają się być chwytami sytuacyjnie chybionymi, nie można bowiem Boryny otaczać stylem Kordiana i na odwrót. Mieściłyby się w tym fałsz socjologiczny, który poezji nie jest na nic potrzebny.

Z rozdziałem „Z ziemi gościnnej do Polski”, stanowiącym przedruk oddzielnego tomu pod tymże tytułem, oraz z „Wierszami ostatnimi” wychodzimy na zakończenie w atmosferę poezji o celnej prostocie. „Nalewanie młodego wina w stare dzbany”, o którym mówią przedmówcy, czyli ujmowanie nowych zjawisk społecznych w klasycyzujące formy doprowadziło Szenwalda do stworzenia szeregu wypracowań akademickich o piękności eksponatów muzealnych, tym bardziej martwych, że nieoryginalnych. To właśnie ów pseudoklasycyzm Szenwalda, słusznie określony w przedmowie przez Seweryna Pollaka. W wierszach natomiast pochodzących z pobytu „na ziemi gościnnej” i powstałych pod bezpośrednim wpływem wydarzeń wojennych, w latach 1941 — 1944, w głębi Rosji i na froncie, klasycyzm staje się już tylko prostotą przejrzystej stylizacyjnie tradycyjnej strofy i szlachetnym patosem, przywróconym do mody i zrehabilitowanym przez „czasy pogardy”, gdy uczucia ludzkie musiały uderzać w najwyższe tony, aby je było słychać wśród codziennych zbrodni. Posłuchajmy tego głosu:

„W zaspie śniegu, pod drzewem jakimś
rosochatyim,
W staromiejskim zaułku, zatepłym i krzywym,
Historia z partyzanckim czeka automatem,
I przysiągłbyś, że zmarli pomagają żywym.
Tam lekkiem puste nocy zwiększeni
dwojnásob,
W widmowych frakach, lotnych niby
skrzydła sine.
Rozkopując srebrzysty od księżycy nasyd,
Łukaszyński z Trauguttom zakładają minę
Tam Waryński mazurem kajdaniarskim
dzwoni,
W bramy fabryk napada na transporty broni,
Otwiera Pawiak. Przez świat śnieżycą
zamglony
Jedzie Ściegienny — za nim chłopskie
bataliony,
Nad siodłem zgięte cienie we wstęgach naboi.
Jeden zsiadł — konia w rzece lodowatej poi.
Spójrzcie mu w twarz — to Jakub Jasiński!”

Tak prosty i silny wyraz poetycki znajduje pierwsze w dziejach polsko-rosyjskie braterstwo broni, którego Szenwald został Tyrtuszem. Poeta posuwa się nawet o wiele dalej, bo łączy dramatyczne już w samym zestawieniu słowa: Polska i Sybir, pisząc piękny wiersz o Syberii („Pożegnanie z Syberią”), „kraju narcyzdów i cedrów, kraju uroczysk brzoźowych”, gdzie „po śnieżystej pustce dudniąc krocza słupy zorzy polarnej”. Ziemia przez Polaków przeklesta dała tym razem schronienie poecie polskiemu i tym, którzy z niej wyruszyli „walcząc o swobodę kraju mniejszego niż ona”. Szenwald towarzyszy im jako żołnierz na szlaku wyznaczonym przez jego jednostkę bojową, a jako poeta na wszystkich szlakach frontu regularnego i partyzanckiego, marząc o wolnej Warszawie, u której bram niemal wypadło mu zginać, oraz o Polsce ludu politycznie i społecznie wyzwolonego:

„Warto się o to krwawić i zatrać warto.
Przykazała żywa krew tych, co już nie wstana,
W niepodległej strażnicy, nad ziemią
schostaną,
Przy boku praw i swobód trwać niezmienną
wartą”.

Wierszom Szenwalda wydawcy nadali charakter książki starannie i pietystycznie opracowanej, chociaż na pewno nie zawiera ona kompletu utworów poety, czego powodów należy szukać w powojennych trudnościach docierania do roczników czasopism, gdzie rozproszona jest większość spuścizny Szenwalda. Skądinąd trafne i rzucające wściekłe światło na jego twórczość przedmowy St. R. Dobrowolskiego, S. Pollaka (ten autor opracował zasadniczą część krytyczną) i Wł. Bienkowskiego posiadają pewien drobny mankament, którego jednak nie powinna wykazywać książka poświęcona, przeznaczona niewątpliwie do szerokiego obrotu społecznego. Jest nim brak jasnego i chronologicznie uporządkowanego życiorysu, który by bardzo ułatwił obcowanie z poetą przegryzionym odbiorcom poezji, a zarazem ocalił przed niepamięcią szereg danych biograficznych. Następne wydanie „Utworów poetyckich” Szenwalda należałoby konieczność w te dane zaopatrzyć.

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

RZECZ O WOLNOŚCI

Trzyaktowy dramat St. Ryszarda Dobrowolskiego pt. Spartakus — grany ostatecznie na scenie wrocławskiej wydany został w formie książki przez Sp. Wyd. Wiedza, w sposób niezwykle piękny i troskliwy. Dobry papier, druk przejrzysty i dobrze rozróżniony. Okładka i ozdobiłki projektu Ignacego Witza bardzo przyczyniają się do estetycznego wyglądu książki. Stron 136.

„Spartakus” Dobrowolskiego to — w poetyckiej wyobraźni autora — obraz ostatniej fazy walki zbrojnej o wyzwolenie, którą niewolnicy Rzymu pod wodzą słynnego Spartakusa podjęli przeciwko swym rzymskim panom w siedemdziesiątych latach przed Chrystusem. Ta ostatnia faza walki — ujęta w trzy akty dramatu scenicznego — kończy się klęską w momencie największych nadziei, w chwili najserdeczniejszych marzeń o dalekiej krainie wolności, o krainie ciężkiej ale dobrowolnej i wspólnej pracy dla wspólnych celów, o północnej krainie, o której opowiada Spartakusowi jego słowiańska żona. Ale ta klęska pod naporem przeważającej polegi legionów rzymskich i w obliczu zdrady sprawy wolności ze strony Germanów i Celtów — nie ma tu pesymistycznego wydźwięku, chociaż staje się tragedią osobistą bohaterów. Jest tu nadzieja — jak u Malraux. Jest tu nadzieja — jak w bardzo zresztą podobnym tragicznym zakończeniu walki powstańczej Langiewicza w „Dykatorze” Jerzego Żuławskiego.

O tej nadziei i o sensie nierównej walki mówi u Dobrowolskiego Spartakus do zachwianego pesymizmem przyjaciela:

Nie damo od wieków krew płynię!
Na kościach stanie drugi świat...

Kiedykolwiek człowiek
wzniesie gdzieś ramię przeciwko przemocy,
ja będę zawsze z nim — pożarem w nocy,
znakiem na szańcach i mieczem, co blyski
jak piorun w chmurze... Z mojego nazwiska
po tysiącletnich jeszcze godła zszyci
i pójdą bić się!... Bo imiona żyją.
Bo żyje sława wolności we wnukach
walczących działo i od niej nauka
śmierci za wolność... więc wolność nie kona!
Wolność jak gwiazda z utwierdzeń strącona
jeśli gdzie gasnie — to, by znów po latach
gdzie indziej płonąć pod sklepieniem świata.
Wolność jest wieczna.

Lecz czym jest ta wolność i skąd się bierze? Mowa jest o niej ciągłe, na całej przestrzeni dramatu. Dialogi stają się burzliwe, gwałtowne. „Wolność — to walka” mówi Pharnaces. „Wolność wyrasta z pracy” odpowiada Spartakus. Aż wreszcie w konkluzji długiej dysputy Pharnaces: „Wierze! wierze! wierze! — że z walki wyjdzie wolna praca — z pracy prawdziwa wolność...”

Tędy przewija się właściwa nitka myśli utworu. Przy tym bazę społeczną o tę wolność walczących stara się autor — w ramach konstrukcji dramatu i pretekstu historycznego — możliwie rozszerzać. Bojownikami są tu niewolnicy z rozmaitych zawodów i z rozmaitych krain. „Będziem wolni?” pyta jeden



Stanisław Ryszard Dobrowolski
fot. K. Sosnowski

z tych przeciw Rzymowi zbuntowanych, a odpowiada mu drugi:

Będziem! Będziem!
— jak sobie pazurami tę wolność zdobędziem,
jak za nią krwią zapłacim... Słyszysz? O! w tym bieda,
że wolność — rzecz nie tania. I nikt nam jej
nie da!
Nikt!... Słyszysz. Nikt na świecie. Możem być spokojni!...

Choćby nie wiem jak zacy to był pan i hojny,
choćby to nawet... Sami tu musim być czynni.
A w innym miejscu wspomina młode lata
w swym północnym kraju:

Ano! jak to było?
Harowaliśmy! Ba! orka to orka!
Nie ma co mówić! Siew. Żniwa. Jak na wsi!
Praca od świtu... Zylisny na wspólnym.
Przyszło do zbiorów, a dobry rok popadł,
toś wiozł, człowieku — ho! ho! — jakie kopy
do wspólnych gumien... Wszystko tam co
twoje —
to i gromadzkie...

Przy tym poruszanie takich to spraw w tym utworze nie razi żadną sztucznością. Wynikają one z sytuacji w sposób naturalny. Sam Spartakus — tylko w niektórych momentach wydaje się być romantycznym bohaterem. Na ogół zaś pokazany jest raczej „jako trzeźwy, świadomy celów przewodnik swej klasy społecznej. Jednocześnie utwór zbudowany jest na najlepszych wzorach klasycznego dramatu. Nie brak tu nawet takich postaci z niezawodnej recepty, jak dwaj cyniczni i pijani hultaje, Marcipor i Quintipor. To pogodzenie klasycznych form z żywą treścią — uważać należy za duży sukces autora.

Wiersz, którym napisany został dramat, jest wierszem mocnym w wyrazie, a w niektórych partiach ma ton prawdziwie szlachetny i bogaty.

Juliusz Żuławski

Adolf Sowiński

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

NAD KLASYKAMI^{*)}

GDY W CIEŹKIM wojennym roku 1919 Maksym Gorki rozpoczął wydawać swój cykl przekładów klasyków literatury światowej po rosyjsku, odczuwały się głosy działaczy, iż względ polityczny każe raczej używać papier, którego brak, na broszury, bo bez nich niemożliwa jest praca wśród mas chłopskich.

Słusznym jest uznanie priorytetu kryteriów politycznych, gdyż one to zmuszają do najwzschroniejszego osądzenia sprawy jako organicznej części całości danej sytuacji społecznej. Rację jednak miał tu Gorki — nie działacze terenowi. Często popełniany ten błąd w interpretowaniu zasady priorytetu politycznej selekcji w stosunku do wartości kulturalnych i w stosunku do zasad polityki kulturalnej w ogóle.

Niewłaściwa jest ciasna interpretacja, która pozwala dać polityczną aprobatę tylko tym wartościom, których bezpośrednia społeczna funkcja oddziałuje pozytywnie na kształtowanie się aktualnej sytuacji politycznej, na kształtowanie się pożądanych ideologicznych przeobrażeń świadomości odbiorców.

Przy najbardziej świadomej, ideowej pracy twórców, przy pełnym przeniknięciu jej pożądanymi, postępowymi treściami politycznymi nie stworzy się nowej kultury, jeśli nie podejmie szeregu prac z punktu widzenia bezpośrednio korzystnej politycznej wydawalności — bezcelowych. Dla przykładu: swoiste prawa rozwoju kulturalnego wymagają, aby dla stworzenia warunków pełnego i właściwego oddziaływania aktualnej, politycznej powieści, podjęto także subtelny trud przekładu powieści twórczości (bardzo ludowej) Szekspira wraz z jego sonetami. Walcząca, ideowa aktualna w najlepszym tego słowa znaczeniu krytyka może naprawę na poziomie współczesnej myśli rozwinąć się tam, gdzie podejmuje się zmuszone prace bibliograficzne, gdzie rozwija się wiedza historyczna — literacka gdzie wznowia się i krytycznie wydaje starych szesnastowiecznych autorów.

I dlatego też cytowana biblioteka przekładów Gorkiego — jako konieczny fundament nowej ludowej kultury, w kraju który przelżył rewolucję, była głęboko trafnym przedsięwzięciem z politycznego punktu widzenia. Ale, aby tak szeroko i właściwie interpretować zasadę priorytetu kryteriów politycznych także w myśleniu o kulturze trzeba dobrze zdawać sobie sprawę, iż jest politycznie słusznym przestrzeganie potrzeb technicznych rozwoju kulturalnego.

Do takich potrzeb należy wytwarzanie wartości które stanowią niejako ciężki, zwarty grunt, z którego dopiero wyrastać mogą jak kwiaty dzieła prawdziwie nowoczesne, nowatorskie, a przy tym problematyzowane artystycznie i ideowo, na poziomie osiągnięć dotychczasowej kultury, o walczącej, aktualnej treści.

A które to są te wartości? A to już sprawa kompetentnego sądu politycznego, ale w tym właściwym, szerokim znaczeniu.

Sądziłem, że konieczne jest przypomnienie tych paru uwag przy omawianiu wydawnictw cytowanych w przypisku tytułowym. Właśnie z omówionych wyżej racji ogólnych należy z radością sygnalizować wznowienia „Biblioteki pisarzy staropolskich”, biblioteki klasyków łacińskiej literatury starochrześcijańskiej i rozpoczęcia nowego cyklu wznowień klasyków literatury rzymskiej.

„Biblioteka Pisarzy PAU, której nowy, powojenny, skolei 87 tom otrzymujemy, ma za sobą szereg świetnych wydań naukowych najbardziej zapominanych i nie mogących liczyć na szerszą popularność pisarzy staropolskich. Biblioteka może się pochlubić wydaniem „Satyr” Bielskiego, współczesnego przekładu łacińskiego dramatu Szymonowi-

cza (Cassius Joseph), „Żywota Józefa” i „Kupca” Reja, jednego z najpiękniejszych pomników polskiej poezji barokowej „Rymów duchownych” Grabowieckiego, sensacyjna edycja nieznanego eposu Odymalskiego „Obieście Jasnej Góry”. Przede wszystkim jednak obejmuje rzadkie broszury prawnicze, polityczne, przedrenesansowe bezimienne romanse fantastyczne w rodzaju „Historii o żywocie i znamienitych sprawach Aleksandra Wielkiego”. Nowy tom: „Ewangeliarz” Jana Sandeckiego (Maleckiego) znanego szermierza-reformacyjnego i wczesnorenesansowego reformatora naszego języka książkowego jest przedrukem jednego ze starszych zabytków typografii polskiej. Korbu woli autora tego dzieła nazywać Maleckim. Urodził się ten ostatni u schyłku XV wieku, pochodził z mieszczańskich sędziów. Był z zawodu drukarzem. Potem działał reformacyjnym. I dopiero jako założyciel w 1547 pierwszej polskiej drukarni we Łku w Prusach przezwiał się Maletiuszem.

Wiemy jak istotną sprawą dla kształtowania się narodowego języka literackiego, który stanowił trwałą podstawę narodowej kultury były przekłady ksiąg kanonicznych. Działalność Sandeckiego to ciekawy rozdział historii tego wielkiego ruchu społecznego i umysłowego jakim była reformacja w Polsce. Stąd też przedruk jego przekładu fragmentów Starego Testamentu tzw. Historii św. Anny i szeregu peryok ewangelicznych stanowi ważny przyczynek dla poznania polskiego szesnastowiecznej i historii naszego języka literackiego.

Wydanie profesora Janowa jest opatrzone znakomitym aparatem filologicznym krytyki tekstu. W wyniku swoich rozważań ustalił on autorstwo tekstu przypisując je Sandeckiemu. Opracowanie nie odbiega od przyjętego w Bibliotece Pisarzy Polskich typu filologicznego komentarza. Wydawnictwa tej biblioteki przeznaczone są dla wąskiego środowiska kłosa znawców i miłośników staropolszczyzny, służyć ceim naukowym a nie popularyzatorskim, gdy nawet poważna „Biblioteka Narodowa” Ossolineum służyła popularyzacji na wysokim poziomie. Jest z tego także względu rzeczą mądrą i konieczną kontynuowanie tego wydawnictwa akademickiego. Może ono bowiem nie krepując

się potrzebami szkoły, drukować teksty, rzadkie niepopularne, interesujące wąski krąg badaczy, ale znajomość których choćby niezbyt szeroka jest konieczna dla utrzymania ciągłości naszej kultury narodowej, dla rzetelności naszych sądów historycznych i literackich.

Mimo to jednak należało by życzyć sobie bardziej demokratycznego traktowania komentarza do wydawnictw tej biblioteki. Studenci filologowie, nauczyciele, krytycy, którzy korzystają z jej tomików — nie są, bądźmy szczerzy, tak świetnie przygotowani, by im wystarczyła filologiczna krytyka tekstu i księgoznawczy opis zabytku. Biblioteka stałaby się pożyteczniejszą jeszcze i przystępniejszą, gdyby zaopatrywała swe wydawnictwa w możliwie wyczerpujący historyczno-literacki i socjologiczny komentarz.

Taki komentarz formalnie rzecz biorąc ma 20-ty tom Biblioteki Pism Ojców Kościoła (O brakach tego komentarza niżej). Biblioteka ta od szeregu lat przed wojną wydawała greckich i łacińskich pisarzy starochrześcijańskich. W dorobku swym ma m. in. świetne wydanie „Wyznań”, „Pism katechetycznych” i trzy ogromne tomy „Państwa Bożego” św. Augustyna. Świeżo wydany w doskonałym przekładzie Sajdaka (wybitnego polskiego znawcy literatury starochrześcijańskiej) „Apologetyk” Tertuliana jest jednym z najważniejszych dokumentów myśli religijnej pierwszych wieków naszej ery. Nowy przekład przetrasta znacznie pod względem formy i wierności dawne polskie przekłady. Tertulian żył prawdopodobnie na przełomie drugiego i trzeciego wieku po Ch. Tertulian to pisarz, którego trawi „zawsze gorączka niecierpliwości”. Jego gwałtowne pisma są genialną obroną wielkiej sprawy społecznej jaką był chrześcijański przewrót religijny w świecie rzymskim. Tom ten jak i poprzednie tomy tej biblioteki przynoszą bardzo wiele dla źródłowego poznania jednej z najbardziej ciekawych i pogmatwanych dziedzin wiedzy historycznej: historii religii. A jest to dziedzina ciągle ciemna, osnuta mgłą przesądów i uprzedzeń właśnie dlatego, że jest tak bardzo ważna dla sformowania naukowej syntezy wiedzy o człowieku w ogóle. To też należy żałować, że całe wydawnictwo tak

cenne przez wkład pracy tłumaczy — jest inspirowane przez czynniki kościelne.

Nie można uczonym pracującym nad literaturą starochrześcijańską z prof. Sajdakiem na czele odmówić wysokich fachowych, filologicznych kompetencji, tym niemniej jednak ich emocjonalny stosunek wierzących do przedmiotu powoduje, iż zarówno komentarz do Apologetyki jak i poprzednie komentarze nie odpowiadają wymaganiom współczesnej wiedzy historycznej i socjologicznej. Autor komentarza do Apologetyki daje nam psychologiczną charakterystykę Tertuliana (str. XCIII, CII) psychologiczną jedynie interpretację genetyz jego dzieła jako tworu namiętnego obrońcy „wiecznej prawdy” przeciw „fałszowi”. Brak tu wszelkiej próby historycznego i socjologicznego — a więc po prostu naukowego zbadania zagadnienia.

Trzeba przyznać, że najwięcej pod tym względem daje komentarz trzeciego klasycznego tekstu, który tu omawiamy. Jest to wprowadzenie prof. Kumanieckiego do należącej od wieków do skarbcza kultury europejskiej historii sprysiężenia Katyliny i wojny jugurtyńskiej Salustiusza. Przekładów klasyków rzymskich i greckich, z którymi powinniśmy być spoufalieni jako z głównym źródłem naszych tradycji kulturalnych, ciągle mamy zbyt mało. To też należy z uznaniem powitać inicjatywę filologów Uniwers. Warsz., którzy „podjęli wydawnictwo „Biblioteki Meandra”. Salustiusz to pisarz burzliwej, przełomowej epoki schyłku republiki rzymskiej (urodził się bodaj w r. 86) Salustiusz to przeciwnik ginącego świata arystokracji rzymskiej, którym pogardza, nienawidzący oligarchów, brzydzący się awanturnikiem Katyliną, „ludowic” i „demokratą” swego czasu, pożerany ambicją polityczną, material na reformatora społecznego. Jak pisze komentator „razem z innymi przeżywał gorącą wszelkie wahania opinii, fale nastrojów tłum miejskiego, który zrazu żądry nowości zbyt spryjał wojnie, obecnie po wykryciu spisku, zmieniający swe nastawienie, przeklinał zamierzanie Katyliny, Cicerona wynosił pod niebiosa. Jakby z niewoli wydarty, szalał z uciechy i radości. Albowiem sądził, że wszystkie działania wojenne raczej mu łup przyniosą niż szkoda, pożar jednakże uważał za rzecz okrutną, za bezmiernie niebezpieczną i szczególnie dla siebie dotkliwą ponieważ cały jego majątek składał się z posiłku dziennego i ubrania”.

Salustiusz zostawił książkę — świadectwo tych tragicznych dni, pasjonującą i trzeźwą. Jego monografia Katyliny jest sądem nad „degeneracją zmateriałizowanej, dążącej za wszelką cenę do użycia i władzy arystokracji rzymskiej” (Kumaniecki). Podobnie i w pracy o wojnie jugurtyńskiej interesuje go zagadnienie rewolucji. Jeśli dodamy, że Salustiusz jest świetnym stylistą, biegłym w sztuce przeciwieństwem retoryki starożytności, Adwokata Cicerona — to będziemy mieli dość powodów, aby przedkład Salustiusza polecić jako lekturę każdemu inteligentnemu czytelnikowi, nie tylko braci literackiej.

Na zakończenie jeszcze raz trzeba podnieść, że tego rodzaju wydawnictwom klasycznych tekstów należy się wszelkie poparcie i opieka.

-Stefan Żółkiewski

PRZEGLĄD PRASY

W nowym roku wydawniczym pisma literackie wkraczają w nowy etap swojej działalności. Na ich łamach dostatecznie została sponularyzowana współczesna literatura polska, tworzona zarówno przez pisarzy powojennego pokolenia, jak i tych, którzy pracę swoją rozpoczęli jeszcze przed wojną. Stwierdziłem nieraz, na podstawie prawie trzydziestoletniego doświadczenia obserwatora literackiej prasy, że nie istnieje żadne zasadnicze sprzecznosci między starszym i młodszym pokoleniem pisarskim. To samo doświadczenie skłania mnie do wniosku o zbędności montowania oddzielnej prasy literackiej i zw. młodych.

Wystarczy przejrzeć ostatni (2) numer „Nurtu” by przekonać się, że rozdział pisarzy według generacji nie wychodzi bynajmniej na dobre i zw. młodym. Pozostawienie w kręgu własnych zagadnień, które, jak np. w dziedzinie poezji, zostały już dawno przewyżczone przez pisarzy poprzedniej generacji, młodzi poeci odkrywają po raz niewiadomo który dawno odkrytą Amerykę. Niedawno przeglądałem ten numer wspólnie z Adamem Ważykiem, który pamięta burzliwe lata polskiej awangardy i zna na pamięć wszystkie formuły w rodzaju: „poezja to jest ruch” etc. Ważyk zamyślił się nad strofą, nie wiem już czyż wiersza i powiedział: to przypomina dawne wiersze Wata, trzeba by wydać antologię polskiej poezji z lat 1920—25, bo im się zdaje, że robią coś nowego.

Zerwanie kontaktu z rzeczywistością historycznego rozwoju literatury doprowadziło do tego, że sądzona według ostatniego numeru „Nurtu” młoda literatura polska przypomina swoją babkę z roku 1920. Chciałbym przypomnieć, że jest to babka drobno-mieszczńska. Mówię tę prawdę tylko po to, by wyprowadzić z błędu tych, którzy uważają się za pogromców poezji z lewa.

Noworoczne „Odrodzenie” przynosi m. inn. artykuł Andrzeja Stawara „Z refleksyj porocznicowych”. Stawar w trzydziestoletnią rocznicę rewolucji październikowej ocenia istotną wartość i znaczenie przewrotu społecznego dla narodów zamieszkujących dawne imperium carów. Oświetlając zagadnienie od strony przemian w dziedzinie narodowościowej, jak również od strony kulturalnego awansu pracujących mas, Stawar napisał jeden z bardziej ciekawych, pozbawionych elementu deklamacji i pustosłowa, artykułów związanych z rocznicą rewolucji. Szkoda, że praca ta ukazała się dopiero teraz.

Stanisław Gogłuska zamieszcza w tymże numerze „Odrodzenia” obszerną kronikę zawierającą dane o francuskiej nagrodach literackich. Fragment prozy: „Pierwszy śnieg”, drukuje Pola Gojalska.

Nie wspominałem dotąd o jednej z bardziej pożytecznych rubryk, jakie są prowadzone w „Odrodzeniu” — o „Kartkach z dziennika lektury” Jerzego Andrzejew-

skiego. Przed dwoma laty usiłowano stworzyć taką rubrykę w „Kuźnicy”, ale jeśli pamiętam, dział ten („Oceny po latach”) pomysły jako cykl felietonów przypominających i rewidujących zarazem, niestety się nie utrzymał. Tym większą zasługą Andrzeja Andrzejewskiego, że rubrykę swoją prowadzi sam!

„Kartki z dziennika lektury” nie ograniczają się bynajmniej do książek dawnych. Andrzejewski omawia również pozycje nowo wydane. W pierwszym tegorocznym numerze „Odrodzenia” felieton swój poświęcił Andrzejewski zapomnianemu prozaikowi z pierwszej połowy dziewiętnastego stulecia, Ludwikowi Sztjmerowi. Gdyby Sztjmer pisał we Francji, byłby dziś sławny i patronowałby upartym surrealizmowi, podobnie jak Jean Paul, Hoffmann, czy Nodier (oczywiście z zachowaniem koniecznych proporcji). Ale Sztjmer wraz z kilkunastoma innymi wybitnymi prozaikami miał to nieszczeście, że pisał u nas, gdzie nie przywiązywano nigdy najmniejszego znaczenia do twórczości pisarzy rodzimych mniejszych niż Mickiewicz i bardziej wolnomyślnych niż Zygmunt Krasiński. Zapomnienie w jakim butwały świetne wiersze Norwida i znakomita jego proza, całkowite zapomnienie, jakie okrywa poetów — Felicjana Gomułckiego, Berwińskiego, Rolicza, Lledera, Antoniego Langego i tylu, tylu innych, było przerywane niekiedy przez wydawców antologii poezji polskiej. Norwid jeden doczekał się sławy i wydawnictw mniej więcej kompletnych. Natomiast proza ubiegłego wieku, poza dziełami Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza, jest zupełnie nieznana nie tylko przez szerokie masy, ale co gorsza przez czytającą inteligencję, która miała czas i warunki na zapoznanie się ze swoją literaturą.

Sztjmer jest oczywiście tylko jedną z zapomnianych postaci, które należy przywołać na światło dnia. Wystarczy przewertować Korbuta, by znaleźć mnóstwo pozycji ciekawych. Nietylko z punktu widzenia literackich tradycji, (którymi nie należy bynajmniej pogardzać), ale i ze stanowiska ważnego dokumentu socjologicznego, obyczajowego i historycznego. Cała np ogromna literatura pamiętnikarska ubiegłego stulecia jest prawie nieznaną, nie się o niej nie pisze. Nic prawie dziś nie wiemy, o latach wielkiej emigracji od strony wspomnień współczesnych, nie znamy listów, nie mamy pojęcia o źródłach. Brak tradycji literackiej powoduje to dziwne zjawisko, że po każdym wielkim wstrząsie historycznym, literatura u nas rozpoczyna się od nowa, jak by jej przedtem nigdy nie było. Dlatego może tak się dzieje, że Aragon chce napisać wiersz polityczny, zamyka go w strofy romantowskie, zaś nasi młodzi poeci w tym samym celu chwytają ostatnie nowości: wiersze awangardy z roku 1920.

ph.

PRZEWODNIK.

PODRĘCZNIK.

INFORMATOR — niezbędny dla:

skarbcowców, księgowych, prawników, studentów, biur i urzędów, to książka

Dr RUDOLF LANGROD

SKARBOWOŚĆ POLSKA W NOWYM USTROJU

zarys z załącznikiem taryf i skal. Łódź 1947. Stron 265. Zł 640,—

Wydawnictwo:

„POLIGRAFIKA, Łódź, Sienkiewicza 10. (3088)

KOESPONDENCJA

Dlaczego polskie filmy są złe?

W dniu 29 kwietnia br. zawarliśmy z „Filmem Polskim” umowę na napisanie scenariusza i scenopisu pełnometrażowego filmu p. t. „Drukarnia na Grzybowskiej”, z życia konspiracyjnych grup młodzieży warszawskiej w roku 1942.

W umowie zostało zastrzeżone, że wszelkie zasadnicze zmiany w scenariuszu lub scenopisie mogą być dokonane jedynie za naszą zgodą, oraz że „Film Polski” nie ma prawa na dowolne dysponowanie częściowo lub w całości tematami ani też poszczególnymi scenami i pomysłami do innego filmu.

Tymczasem wbrew naszej woli przyszedł reżyser filmu, ob. Antoni Bohdziewicz, wprowadził do scenopisu daleko idące zmiany, które całkowicie wypaczają sens ideowy filmu i obniżają jego wartość artystyczną.

Następnie „Film Polski”, mimo naszego kategorycznego sprzeciwu, zamówił do naszego filmu dialogi u osoby trzeciej, nie uważając nawet za wskazane uzgodnić z nami osoby autora.

W obawie, że „Drukarnia na Grzybowskiej” stanie się trzecią kompromitacją polskiego filmu po „Zakazanych piosenkach” i „Jasnym Łanach”, chcemy zwrócić uwagę czynników miarodajnych i opinii publicznej na całkowite lekceważenie praw pisarzy przez „Film Polski” oraz oświadczyć, co następuje:

- 1) Nie bierzemy żadnej odpowiedzialności za film pt. „Drukarnia na Grzybowskiej”.
- 2) Nie zgadzamy się na wykorzystanie naszego scenariusza do filmu pod powyższym tytułem.
- 3) W wypadku oddania do produkcji filmu „Drukarnia na Grzybowskiej”, opartego na zmienionym samowolnie przez „Film Polski” naszym scenariuszu, skierujemy sprawę do sądu o pogwałcenie praw autorskich.

(—) Jan Kott
(—) Wanda Żółkiewska

Lódź, dnia 7 stycznia 1948 r.

W sprawie „Alkhadaru”

Jan Kott w artykule „Jeszcze o „Lalce” i pozytywizmie” pisze m. in.:

„Kto wreszcie spośród setek naszych corocznych absolwentów polonistyki, roniących czwartorzędne przyczynki ogłosi jakąś przytomną pracę, choćby nawet tylko referującą o „Alkhadarze” Chojeckiego, tej najbardziej balzakowskiej ze wszystkich polskich powieści, najbogatszej w realia obyczajowe, buntowniczej, drapieżnej, gniewnej i co tu dużo gadać, najlepszej aż do czasów „Lalki”. Jeżeli mi nie wierzycie, kinę się na zdanie Wyki i Andrzejkowskiego: poza nami trzema nikt zdaje się od trzydziestu lat „Alkhadaru” nie czytał!”

Tyle Kott. Osobiście zgadzam się z tym sądem i jestem być może czwartym czytelnikiem tej powieści. Lecz zastanówmy się gdzie leżą źródła zapomnienia „Alkhadaru”?

Otóż w 1854 r. Edmund Chojecki wydał w Paryżu w drukarni L. Martineta powieść „Alkhadar” zaopatrzoną podtytułem „Ustęp z życia ojców naszych”. (Pierwsze a zarazem ostatnie wydanie).

W 1855 r. zmarł Mickiewicz. Rola emigracji była skończona. W kraju panowała wówczas moda na powieści historyczne ze szlachecką krzepką i szabelką — Rzewuski, Chodźko, Kraszewski, Kaczkowski, a wreszcie Sienkiewicz.

Ostatnie lata emigracji wydały dwu zapomnianych twórców: Norwida i Chojeckiego. Norwida wydobył na światło dzienne Wypiski i Witkiewicz, a do chwili obecnej windują go na piedestał, niektórzy młodzi poeci katolicy, wyraźnie chorujący na epigonizm i mistycyzm.

Lecz kto upomni się za Edmundem Chojeckim. Podreczniki literatury, aż do Wojenckiego włącznie, milczą. W szkołach poleca się młodzieży: Krzyżaków, Trylogię, Pamiętniki Soplicy, Obrazki litewskie i Olbrachtowych rycerzy. (Tak się złożyło, że autorzy tych książek byli zakamieniałymi konserwatystami!). Dlatego z radością należy powitać inicjatywę Sp. Wyd. „Książka”, która przygotowuje nowe wydanie „Alkhadaru” (po 93 latach!).

Należy jeszcze upomnieć się o należne jej prawo w literaturze polskiej i skończyć tym samym z mitem o prymacie Sienkiewicza w dziedzinie powieści historycznej. Dowiemy się również, że na emigracji istniała proza powieściowa (!).

Z poważaniem, a jednocześnie z nadzieją że odezwiesz się krytycy

Bohdan Grzeniewski, Warszawa.
24. 12. 1947.

Cieszę się bardzo, że znalazł się czwarty entuzjasta „Alkhadaru”, chciałbym przy sposobności sprostować zdanie naszego korespondenta. Obok pierwszego paryskiego wydania „Alkhadaru” istnieje jeszcze drugie wydanie „poprawne” w „Bibliotece Pisarzy Polskich” tom 55—58, Lipsk, 1869, nakładem F. A. Brockhausena.

SPROSTOWANIE

Do artykułu Juliusza Żuławskiego „Z teatrów łódzkich”, drukowanym w poprzednim, noworocznym numerze „Kuznicy” wkraśl się błąd korektorski. W czwartej szpalcie, drugi wiersz od góry, w ustępie dotyczącym Inscenizacji Salacrou „Noce gniewu” — zamiast: „aktualność tematu przeniosł autor gdzieś w rejony tymczasowe” powinno być: „aktualność tematu przeniosł autor gdzieś w rejony pozaczasowe”.

Aby pomóc Europie jedźcie kurczaki

„Franc Tireur” publikuje pod powyższym tytułem korespondencję własną z Nowego Jorku. Na wstępie korespondent omawia stanowisko fermerów amerykańskich wobec kwestii pomocy dla Europy. Niedawno bawiła w Paryżu delegacja fermerów ze stanu Iowa. Jak stwierdza „Franc Tireur” „postanowili oni pomóc Europie bez żadnych ukrytych kombinacji politycznych”. Chęć pomocy Europie — pisze dalej korespondent — jest powszechna w Ameryce: „Wielka liczba paczek wysyłanych do Europy bądź to dla przyjaciół czy znajomych, bądź też prosto do rodzin o których się jedynie słyszało — zalewa urzędy pocztowe. Jest naprawdę rzeczą wzruszającą widok kobiet niezbyt bogatych, znających również trudności materialne w obecnym okresie drożyzny, które zbierają co się da, aby wysłać paczkę dla kogoś z bardzo daleka. Dla kogoś, kto być może jest komunistą lub socjalistą, kto wierzy w gospodarkę planową a nie w Pana Boga. Jednocześnie rząd propagujący wszelkimi metodami plan Marshalla, uczynił właściwie wszystko, co było w jego mocy, aby zniechęcić Amerykanów do sprawy pomocy”. I tutaj korespondent przytacza słynną już w Ameryce historię o jajkach i kurczakach: „Ogłoszono wezwanie do przestrzegania czwartków bez jajek i drobiu. Dla Amerykanina jest rzeczą dość ciężką obejść się bez śniadania z jajkami sadzonymi na szynce.



I oto co się stało: Kury w dalszym ciągu znosiły jajka, a ponieważ konsumpcja ich poważnie się zmniejszyła było coraz więcej jajek i coraz więcej drobiu. Oczywiście dlatego, że ani jednych, ani drugich nie wysyłano do Europy. Wtedy fermerzy z wsieciąścią w sercu zaczęli wysłać kurczaki do Białego Domu oraz na ręce przewodniczącego komisji „postnych czwartków”. Po dwóch dniach prezydent Truman i przewodniczący komisji Charles Luckman mieli aż nadto kur i kurczaków i zatrąbili do odwrotu. Odąd nie należy wprawdzie w dalszym ciągu jeść w czwartek jajek, ale można jeść drób. Nie tylko można: należy jeść drób. Drobni jest bowiem za dużo, drób pożera ziarno tak cenne dla Europy. To też hasłem dnia stało się tu obecnie: „Zjadajcie patriotycznie jak najwięcej kur”. Jak twierdzą należy do dnia 1 stycznia zjeść 136 milionów kur. Nie potrzeba dodawać, że cyfra ta pochodzi od Związku Hodowców Drobiu (którego ceny, dodajmy, ciągle wrastają). Amerykanie zaczynają mieć wrażenie, że ktoś sobie z nich urządzi kpiny. W ich imieniu Harold Ickes zapytuje ze strachem, czy wkrótce, w imię patriotyzmu i sprawy pomocy dla Europy, nie trzeba będzie zjeść jednego dnia takich to i takich ilości sera, innego zaś znowu potężnych stosów kompotów z jabłek; czy nie trzeba będzie nieść szelek i, broń Boże, nie wychodzić na ulicę bez kaloszy. Jeśli bowiem fabrykanci tych wszystkich artykułów wzmówią komuś z rządu, że jest to dla sprawy pomocy niezbędnie potrzebne... cóż można wiedzieć?” Bs

Wolność Tomku w swoim domku

Pani Rastier Caille, członka paryskiej Rady Miejskiej wszczęła kampanię o przywrócenie... koncesjonowanych domów publicznych w Paryżu. Jak wiadomo wszelkie „oficjalne” domy publiczne Paryża zostały skasowane dwa lata temu. Pani Caille uzasadnia swój wniosek danymi statystycznymi, wskazującymi na wzrost liczby zachorowań wenerycznych od czasu likwidacji koncesjonowanych paryskich domów publicznych. bs

Dwie recepty

W czasie debaty budżetowej poseł Władysław Bieńkowski (PPR) powiedział: „...zostawiając — zgodnie z podstawowymi

zasadami demokracji — swobodę dla życia religijnego i działalności Kościoła, zwalczać będziemy każdą próbę wyzyskania tej swobody dla celów sprzecznych z demokracją i interesami Polski, a przede wszystkim każdą próbę infiltracji obcego imperializmu, choćby ukrywał się pod religijnymi emblematami. Nie jesteśmy tak głusi, byśmy w watykańskich chórach nie dosłyszeli chrapliwych głosów amerykańskich suflerów...”



Niegdyś Kościół przeszczepił prawo rzymskie do wszystkich nieomal krajów Europy. Była to wielka zdobycz kulturalna, znana pod nazwą recepty prawa rzymskiego. Dziś Kościół służy mniej postępowej recepty amerykańskiego imperializmu w Europie. ster.

Filmo ogia

Tuż po nowym roku prasa codzienna doniosła:

Nadany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki tymczasowy statut Przedsiębiorstwa Państwowego „Film Polski” przewiduje m. in. powołanie „Rady filmowej”.

Do zakresu działania rady należy m. in. ustalanie wytycznych programowych, czuwanie nad doбором filmów zagranicznych, opiniowanie tematyki i dbanie o poziom artystyczny filmów krajowych.

Kadencja rady filmowej trwa 3 lata. Przewodniczącą rady mianuje minister Kultury i Sztuki, który też powołuje członków rady spośród przedstawicieli nauki, literatury i sztuki oraz organizacji filmowych.

Nadto do rady wchodzi powołani przez ministra znawcy zagadnień filmowych z listy przedstawionej przez naczelnego dyrektora „Filmu Polskiego”, na której figurować będą kandydaci wysunęci przez instytucje lub organizacje kulturalne i naukowe, wojskowe instytucje naukowe, organizacje społeczno-wychowawcze, wydziały oświatowo-wychowawcze, organizacje zawodowych, zarządy miast, stronnictw politycznych, KCZZ i Samopomoc Chłopska.

Uchwały rady filmowej są wiążące dla naczelnego dyrektora „Filmu Polskiego”.

Piękny to podarunek noworoczny dla „Filmu Polskiego”. Bo jak wynika z tych informacji, w organizacjach kulturalnych i naukowych, wojskowych, społeczno-wychowawczych, zawodowych, w zarządkach miast, w KCZZ, w Samopomocy, wszędzie, wszędzie — ukrywają się „znawcy zagadnień filmowych”. Trzeba ich tylko wytopić i zasadzić nareszcie do pożytecznej roboty. Będą opiniowali,



dbali, czuwali, będą radzi nie radzi w Radzie Filmowej. Ktoś kiedyś nazwał „Film Polski” wozem na kwadratowych kołach. Obciążony takim podarunkiem noworocznym, dopiero wóz ten ruszy. Dobrze by było przy okazji wladować na wóz przedstawicieli „Pogotowia Ratunkowego” i związku zawodowego akuserek. A już dla zupełnej pewności można zwoływać co miesiąc specjalny kongres filmologiczny w którym by zasiadł co trzeci obywatel Rzeczypospolitej. Kwadratowe koła wytrzymają i taki ciężar.

„Kuznica” już nieraz pisała i życie wykazało — co wart jest ten cały system Artystycznego Rajcowania, którym maskuje się bezradność urzędniczą w sprawach sztuki i kultury. Ten system spłodził już kilkoro martwych dzieł. „Rada Filmowa” to chyba ostatni, jubileuszowy niedonoszek tej smutnej dwuletniej praktyki. Na szczęście, statut „Filmu Polskiego” jest „tymczasowy”. I pociesmy się, że cały system urzędniczy, który go spłodził — również. ekm

Zasługi wydawców

W bieżącym tygodniu moja lista zasług zostaje pomnożona. Nietylko spółdzielnie biorą udział w pożytecznej pracy nad odbudową naszych fundamentalnych bibliotek. Czasem, choć rzadko, nieco zasługi oddać można również i wtedy, gdy się jest wydawcą prywatnym.

Oto wydawnictwo J. Kubińskiego wypuściło trzytomową edycję poezji zebranych Adama Asnyka, poety niesłusznie zapomnianego. Edycja ta jeszcze lepiej spełniałaby swoje zadanie, gdyby została wydana w sposób bardziej staranny pod względem graficznym.

Szata graficzna książek pozostawia u nas niestety wiele do życzenia. Z wyjątkiem dużych spółdzielni, rzadko która firma wydaje książki jak należy. Pożyteczny pomysł wydania „Dzwonnika z Notre-Dame” Wiktora Hugo został zrealizowany przez Łódzki Instytut Wydawniczy w sposób tak straszny, że sam niechętny kontroli, gotów jestem wołać o artystyczną przymusową kontrolę okładek książek ukazujących się w Polsce.

Wracając do wydawców prywatnych: stara warszawska firma wydawnicza Gebethner i Wolff trzyma się naogół dawnej dobrej tradycji. Z pośród wznowień należy wymienić Juliusza Kaden-Bandrowskiego: „W cieniu zapomnianej olszyny”, a z pozycji zasadniczych: trzy tomy Władysława Orkana — „Komornicy”, „W Roztokach”, „Listy ze wsi”.

Pragnę wyjaśnić, że oczywiście nie jestem tak naiwny by przypuszczać, że wydana Orkana, Asnyka czy Kadena są deficytowe. Zasługa wydawcy nie polega na tym, że ich wyda, lecz na tym, że woli zarobić na Orkanie czy Asnyku niż na bezsensownych powieściach. ph.

Cudze chwalicie, swego nie znacie

We wrześniu 1946 r., podczas mojego pobytu w Paryżu, Polskie Biuro Informacji, zamówiło u mnie artykuł na temat życia literackiego w Polsce. Artykuł ten, po przełożeniu na francuski przez BIP, ukazał się w tygodniku „Arts”. Kilka tygodni temu zajął się nim Kisiel w „Tygodniku Powszechnym” i z francuskiego przekładu dokonał własnej resydukcji pierwotnego tekstu. Znając Kisielem, nie trudno przewidzieć wyniki tej operacji i — oczywiście, sięgając po pierwszy przygląd z brzegu, — zdanie z oryginalnego tekstu: (o domach wypożyczynkowych literatów): „Są to dawne dwory z ośrodkami rolnymi, które rządy po dokonaniu reformy przekazały Związkowi kowi”, zostało przetłumaczone na francuski: „Ce sont d'anciens chateaux, entourés de plusieurs hectares de terre, que le gouvernement, après avoir effectué la réforme agraire, a attribué à l'Association” — i przywrócone polszczyźnie przez Kisielem: „Są to stare zamki otoczone wielkimi szmatami ziemi...” itd.

Z felietonu Kisielem wynika więc że mój opis życia literatów w Polsce jest fantazją. Fantazję tę Kisiel rozwija w groteskowy sposób, dając do zrozumienia czytelnikom istnienie wspólnych stołówek „barackich kierowanych przez żony pisarzy, sal, gdzie odbywają się wieczory autorskie, pokojów biurowych zarządu Związku itp. — jest taką samą nieprawdą jak gdybym chciał wzmówić Francuzom, że koło domów literatów znajdują się podreczne lotniska. Pamiętajmy na szczęście dzień, kiedy pan Kisielewski w sal odczytowej krakowskiego domu Literatów (ten bufelek cbok, panie Stefanie, co?) czyta na własnym występie autorskim fragment „Sprzysiężenia”, i wieczór tego dnia kiedy czelodny Kisiel przygrywał do tańca na fortepianie — bo w domach literatów, prośzę państwa, są fortepiany — a ja tańczyłem swingą ze Stasłem Dygatem.

Co do mych fantastycznych wizji o dworach, w których literaci spędzają wakacje, to cóż robić, jeśli sam na własne oczy oglądałem miesiąc temu fotografię z Piawowic (Dom Wypoczynkowy Oddziału Krakowskiego), przedstawiającą kol. Otwinowskiego na arabskim ogierze w stroju do konnej jazdy, oraz kol. Kwiatkowskiego w łódce na stawie lowiącego ryby. Czy da się ukryć Kochany Kisiele, że w Polsce nie każą łowić ryb w drodze karnej, na przymusowych robotach, albo że Otwinowski nie jest dońskim kozakiem? Fru-dno, może świat dowie się na wet o fakcie tak wstydlwym, że w łódzkim domu pisarzy jest sala do ping-ponga, w którym wioną wygrzewają się literackie niemowlęta.

Kisiel kończy swój felieton okrzykiem: „Niech żyje Kazimierz Brandys”. Mimo to uważam to zdanie za równie nieszczerze jak inne, które wychodzą spod pióra Kisielem, tym razem odpowiedź: „Bóg zapłać”.

kbr.

Redaguje: Zespół „Kuznicy”. Wydawca: Zespół „Kuznicy”
 REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
 Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
 Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96 — Telefon 205-42.
 CENA OGŁOSZEN: Za 1 mm na 1 szpalcie 40 złotych.
 WARUNKI PRENUMERATY:
 miesięcznie zł 80,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.
 Należność za prenumeratę należy wpisać do P.K.O. konto VII—567 „Prenumerata Kuznicy”.
 D—025506 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, świrkł 2.